

Polskie siedziby rodzinne. Moroczyn.



Ruiny zespołu dworskiego rodziny Chrzanowskich, herbu Poraj, z XIX w. w Moroczynie, pow. Hrubieszów. Dwór był parterowy, murowany. W latach 1900-1905 przebudowano go, nadając mu nową szatę zewnętrzną: przykryto czterospadowym dachem i otoczono rzadko stosowaną, niezwykle ozdobną attyką balustradową. Na froncie dominował portyk o czterech kolumnach (zachowały się tylko trzy). W czasie II wojny światowej ograbiony z mebli i dzieł sztuki. W pobliżu był park podworski ze stawem, fot. Ar2rek, wikimedia commons

Niedawno, szukając informacji do artykułu, sięgnęłam do swojego „kuferka” z różnymi papierami z Polski i znalazłam list do mnie, z czasów, kiedy byłam jeszcze studentką, od prof. Tadeusza Chrzanowskiego, wybitnego historyka sztuki, przez wiele lat związanego z KUL-em, wraz z dołączonym do niego tekstem o rodzinnym Moroczynie. Przeczytałam go z uwagą, nie pamiętałam go. Dwór polski stanowi ważny element polskiej kultury i tradycji, który

wpisuje się w polską obyczajowość. Niestety przez wiele lat obiekty dworskie, pozbawione gospodarza popadały w ruinę, a niektóre uległy całkowitemu zniszczeniu. I to nie działo się tylko podczas działań wojennych, ale i wiele lat po wojnie, za rządów komunistycznych, a także potem, niemalże na naszych oczach. Uratujmy więc choć niematerialną część naszej historii - pamięć. (red. Joanna Sokołowska-Gwizdka).

Tadeusz Chrzanowski (1926-2006)

Nie urodziłem się w tym dworze, o którym chcę mówić, bowiem urodziłem się w Krakowie, co mi co nieco w życiu pomogło, ale i zaszkodziło niemało. W rzeczonym dworze mieszkałem niezbyt długo - w sumie nie całe 17 lat. Mój ojciec też się tam nie urodził, ani przez całe życie przemieszkował, bowiem doszedłszy do pełnoletności i wstąpiwszy w związki małżeńskie osiadł w innym zupełnie dworze, a nawet poniekąd pałacu, który nabył mój dziad. Tylko że potem przyszła pierwsza wojna światowa i taktyka spalonej ziemi, zastosowana przez cofającą się armię carską, więc ów pałac w Dorohusku nad Bugiem został spalony, a gdy po wojennej tułaczce rodzina wreszcie powróciła w strony rodzinne, to nie było możliwości i środków na odbudowę. Ruiny pałacu i folwark ojciec sprzedał, a osiadł w Moroczynie, bowiem ten z wojennych tarapatów jakimś cudem ocalał.

Nie będę więc mówił o gnieździe rodzinnym, tylko o domu, folwarku, o budynkach, drzewach, założeniach ogrodowych, o stawach i łąkach, o drogach i tak w ogóle o wszystkim, co pamiętam i co mi się we wspomnieniach układa w pewną całość tak, już dziś niewiarygodną, jakby istniała na kartach XIX-wiecznych pamiętników, a nie w wieku XX, niemal w samym środku ówczesnej II Rzeczypospolitej. Więc chociaż nie o gnieździe, ale o czymś prastarym i prehistorycznym nieomal, a jednocześnie tak realnym, to we śnie i na jawie potrafię rozpoznać każdy zakos ścieżki, dziuplę i furtkę. Czyli, że będę mówił z nutą sentymentu i sądzę, że tak mi mówić wolno, jakkolwiek tamten świat uważam za całkowicie miniony i nie chciałbym ani nie potrafiłbym już doń na jawie powrócić. Po wojnie raz jeden próbowałem - nie tyle powrotu, co konfrontacji. I tego mi starczy na resztę dni moich. Są sprawy nieodwracalne i nie trzeba z tego powodu ani patetyzować, ani rozpaczać. Ale wolno sobie pozwolić na odrobinę sentymentu, który stoi poza osądami i poza rzeczywistością. A więc na sentyment „sine ira et studio”.

To „studio” nie jest zresztą w tym konkretnym przypadku możliwe. Kiedy 20 czy 21 września 1939 r. w wyniku nagłej decyzji rodziców opuściliśmy nocą dom, w pośpiechu i rozgardiaszu zaginęły papiery rodzinne - dokumenty i zapisy. Zostałem bez historii rodziny, bowiem ojca nie zdołałem już nigdy skłonić do jakichkolwiek prób rekonstrukcji. Byłaby to zresztą rekonstrukcja wątpliwa, gdyż pamięciowa. A więc jedyne co wiem, to fakt, że moja rodzina „po mieczu” była w tych okolicach zasiedziała, ale właśnie nie w tym domu, gdzie spędziłem dzieciństwo i pierwszą młodość, ale bardziej na południe - w rejonie Kryłowa. Początkowo szlachta średnio-zamożna, zaczęła robić w ubiegłym stuleciu karierę ekonomiczną. Apogeum osiągnął dziadek Edward, którego pamiętam już tylko z wielkiego, zniszczonego w 1939 r. portretu i z kilku zdjęć. Spogląda z nich szczupły pan o ostrych rysach i spokojnym, ale niewesołym spojrzeniu. Był ponoć w miarę surowy, ale dzieci kochały i jego, i matkę - Marię z Kicińskich, z domieszką uwielbienia. Był człowiekiem solidnym, dobrym gospodarzem i miał umiejętność powiększania dóbr. Skupił w swych rękach przed I wojną światową bardzo rozległy klucz, do czego przyczyniły się też bezpotomne śmierci jego braci i dalszych krewnych. I właśnie dom mego dzieciństwa należał do mego stryjecznego dziada, który - nie pozostawiwszy spadkobierców zapisał go bratu. Oczywiście po I wojnie światowej nastąpiły radykalne zmiany w stanie posiadania: trzeba było sprzedać część wyniszczonych folwarków, a poza tym schedę rozdzielić między jedyne go syna - mego ojca - i jego dwie siostry. Ale i tak nie było to mało, skoro w rękach ojca pozostawały - poza domem i folwarkiem Moroczyn, jeszcze i dalsze folwarki: Teptiuków, Ciołki, Kobło, Kopywłów, Siewrszczów, nie licząc drobniejszych.

O samym Moroczynie też niemal niczego nie wiem z dawniejszych dziejów, poza tym, że był to niegdyś folwark klucza starostwa hrubieszowskiego, czy jak je niegdyś nazywano - rubieszowskiego. Dwór, bo był to duży dwór, chociaż miejscowi mówili „pałac”, powstał w swym obecnie wciąż jeszcze wegetującym kształcie na przełomie XIX i XX wieku. Działał wówczas w tych okolicach architekt Stanisław Czachórski, brat znanego malarza - portrecisty strojnych dam i on to miał dokonać przebudowy. Tak bowiem mówiono w domu: przebudowy i za tym twierdzeniem mogłyby przemawiać bardzo grube mury korpusu głównego, być może pozostałość po dawniejszej budowli. Bowiem taka właśnie starsza budowla istnieć musiała, skoro w otoczeniu domu były budynki zdecydowanie od niego starsze, wyznaczające formę

założenia, które musiało istnieć od kilkudziesięciu co najmniej lat, może nawet od stulecia XVIII. W każdym razie to wszystko co mogę powiedzieć o historii. Bardzo tego niewiele, ale proszę mi wierzyć, że historia jest rośliną bardzo kruchą i zanika nieodwracalnie przy każdej okazji - zarówno katastrof, jak i niedbałości.



Ruiny dworu rodziny Chrzanowskich w Moroczynie, fot. Przemysław Nowosad, Wikimedia Commons

Trzeba jednak bliżej umiejscowić ów dom i jego otoczenie. Położony był, jak to z poprzednich uwag wynikało, w okolicy Hrubieszowa, pół kilometra oddalony od szosy i zarazem od wiecznego traktu, który z tego miasta prowadził ku przeprawie na Bugu, pod Uściługiem, a stamtąd wiódł w głąb Wołynia - na Włodzimierz - Kowel - Krzemieniec. Okolice Hrubieszowa słynne były z niezwykle urodzajnej gleby - tutejsze czarnoziemy rodziły, jak to się powiadało - same, ale w czas przedwiosennych i jesiennych słońc przeobrażały się w nieprzebytą, gęstą i lepkać maź, a w susze wzniewały nieopisane tumany kurzu. Krajobraz był rozległy i nieco nostalgiczny - nie było większych wzniesień tylko bardzo powolne, cierpliwe falowanie. Lasów prawie nie było, parodie lasków, bo ziemia była za dobra by tu drzewa sadzić; lasy zaczynały się dopiero na pograniczu z chełmskim powiatem. O dwa kilometry od domu płynął Bug. Nad tym Bugiem, w nożycach dopływu jego - Huczwy - wznosiła się „góra zamkowa” - teren powojennych rozległych badań, które starały

się zlokalizować nieco przedtem mityczne „grody Czerwieńskie”. Ten pod Gródkiem nazywał się „Wołyń” wspomina o nim Długosz. Natomiast na nadbrzeżnych łąkach w pobliżu Gródka wznosił się stożkowaty kopiec - kurhan, który nosił malowniczą nazwę „księżycowej mogiły”, przy czym nie chodziło o księżyc, ale o księcia i nazwa to miała cechy prawdopodobieństwa. Takich kurhanów było zresztą w okolicy kilka.

Droga, która od szosy odbijała w stronę Moroczyna, biegła potem dalej na Kobło, Kopyłów - ku północy. Stał przy niej samotny budynek i wyznaczał początek założenia dworskiego. Ten budynek był bowiem kuźnią i od niego rozpoczynała się aleja dojazdowa, prowadząca do domu i folwarku. Wieś Moroczyn, bardzo mała, położona była w pewnej jakby izolacji od dworu, oddzielona od folwarku strumykiem i pasem łąk. Pomiedzy dworem a wsią stosunki były niezbyt ożywione, przychodziły stamtąd dziewczyny „na akord” popracować w ogrodzie w okresie żniwnych spiętrzeń, czasem podnajmowało się gospodarzy ze sprzężajem, ale to i wszystko. Stosunki były pół-oficjalne, nie zanadto przyjazne (o ojcu mówiono „proklatyj chrien”), ale i nie wrogie. Bójki pomiędzy synami gospodarzy a synami fornali należały do pewnego rytuału i nie świadczyły o jakiejś wzbierającej agresji. Na wsi mieszkali zresztą nieliczni prawosławni, większość stanowili katolicy, a wśród mieszkańców folwarku prawosławni stanowili zdecydowaną mniejszość. Bo jednak - im bliższa była katastrofa tamtego świata - tym bardziej wzbierały nacjonalistyczne nienawiści, a świadomość narodowa budowała się na wyznaniu.

Tak więc założenie dworsko-folwarczne było całością oddzielną, odrębną i - stwierdzam tu obiektywnie - zaplanowaną logicznie, a efektownie, w oparciu o tradycyjnie osiowy układ, ale nie trzymając się niewolniczo praw symetrii i budując niejako odrębne elementy nanizane na ową oś.

Jak już wspominałem od frontu była nią aleja brzostowa (w tamtej epoce brzost był jeszcze w naszym kraju drzewem popularnym - dziś uległ wytruciu i wyniszczeniu). Tak więc od kuźni już widziało się w perspektywie bramę, a przez nią kolumnowy portyk domu. Po lewej było założenie folwarczne, po prawej - osobno - stał spichlerz. Ale na razie główna uwaga skupiała się na temacie centralnym: bramie i dworze. Jedno i drugie posiadało cechy barokowe, jak mi się zdaje dość zmyślnie kombinujące eklektyczne formy, które się wówczas w tej części kraju rozpowszechniły, nie bez wpływu architektury rządowej, ale w tym wypadku

wytworzyły oryginalną i dość efektowną całość. Bowiem ani brama, ani dom nie były po prostu neobarokowe, ani eklektyczno-secesyjne, ani nawet nie zapowiadały tendencji, które miały dopiero stworzyć w przyszłości „styl dworski”. Brama była trójdzielna i nie była bramą do „zamykania”, ale właśnie do „otwierania” – nie stanowiła bowiem żadnej przeszkody ze swymi sztachetowo i ażurowo ukształtowanymi wrotami, których zresztą, nigdy nie zamykano, podobnie jak dwóch furt znajdujących się po bokach. Brama spełniała szczególnie efekt w dni pogodne wiosenne lub letnie, kiedy to słoneczny kontrast sprawia, że zieleń ciemnieje głęboko, a biel tynku staje się tym migotliwsza. Wówczas brama akcentowała się wyraziście i stwarzała wraz z krótką alejką prowadzącą, od niej ku podjazdowi, scenograficzną obudowę perspektywy na kolumny akcentujące front domu.

Ten dom był właściwie parterowy, chociaż miał pomieszczenia na piętrze, częściowo typu mansardowego, a częściowo w przyczółkowych szczytach bocznych. Cały środek wypełniał obszerny strych. Tak więc wszystkie ważne pomieszczenia znajdowały się na parterze, a na piętrze były tylko mniej ważne, ale za to bardziej intymne pokoje: gościnne, a także dla młodzieży – właśnie moje dzieciństwo upłynęło w jednym z nich, tym od południa.



Ruiny dworu rodziny Chrzanowskich w Moroczynie, fot. Przemysław Nowosad, [wikimedia commons](#)

Tak więc korpus stanowił obszerny, prostokąt, przedłużony jeszcze dodatkowo dwoma aneksami dobudowanymi (chyba wtórnie, ale jeszcze nie za mojej pamięci) do skrajnych ścian szczytowych. W tej północnej dobudówce były kuchnia i pachnąca niezwykłymi smakowitościami spiżarnia, w południowej mieściła się tak zwana kancelaria, gdzie ojciec przyjmował interesantów, a także dwie łazienki, bowiem dom posiadał wodę bieżącą. Bryłę akcentował osiowo umieszczony portyk, a raczej taras wsparty na czterech masywnych kolumnach, obwiedziony tralkową drewnianą balustradą, a dostępny ze strychu. Nie mówiło się nigdy portyk czy kolumnada, mówiło się „podjazd”, bowiem przewidziany był do podjeżdżania wehikułów pod ową tarasową osłonę, ale w rzeczywistości tego nie stosowano: stały tam ławeczki i bujające fotele – leżaki, natomiast po bokach były dwa krótkie lekko rozchylające się murki zakończone drewnianymi, słupami, na których rosnące dzikie wino wytworzyło z biegiem lat gęsty, wróblami nadziewany gąszcz.

Proste, nawiązujące do uszatyńskich obramienia okien, kostkowe gzymsy, a przede wszystkim wystawki piętra, potraktowane najozdobniej, ze spływami, słupkami i segmentowymi przyczółkami, określały formę tej architektury, która była w sposób oczywisty prowincjonalna i równie oczywiście oryginalna w owej swojskości. Jestem przekonany, że ani architekt nie reprezentował wysublimowanej tendencji nowatorskiej, ani mecenas tego nie chciał, ale ostatecznie o formie zdecydowała ręka i „wiedza” lokalnego muratora, który tak stawiał, jak potrafił i tak zdobił, jak życzył sobie tego on sam i jego mocodawca.

Łączyła się tu w sposób naturalny tradycja z pewnymi elementami nowatorskimi: ów taras wspierał się na stropach Kleina, ale dach był nadal, jak przez cały miniony wiek, dachem naczółkowym. I zarazem to śmieszna tendencja zdobnicza: na owym dachu, pomiędzy wystawkami wstawione były odcinki balustrady, analogicznej jak na tarasie. Pamiętam jak stolarz, który miał swą pracownię na folwarku, toczył te tralki na tokarni, podobnie jak toczył na niej dzwona do kół wozów.

Od strony ogrodowej był także taras, ale z uwagi na spadek terenu, był na wysokości parteru i schodził w dół monumentalnymi schodami, w które – pośrodku – wstępował półkolistym „belwederem”. Widok stamtąd był bowiem ładny: w tym płaskim terenie

tu jedynie występował nieco wyrazistszy stok, opadający ku stawowi, który był zasilany przez potok czy też bezimienną rzeczkę przyplływającą z łąk od strony Dziekanowa. Za tym stawem wznosiła się ściana parku, który rozpadał się na dwie strefy: pierwsza - leżąca bezpośrednio za stawem - była regularnym założeniem przede wszystkim grabowym z centralną aleją główną i równoległym do niej, przebiegającym wzdłuż północnego skraju strzyżonym szpalerem. Druga część, znacznie szersza, była pozostałością niegdysiejszego lasu i obejmowała kilka bardzo sędziwych, imponujących okazów dębów. W obramieniu - od strony stawu, było nieco brzoź i wierzb, od południa świerkowa ściana. W prostokącie między bliższą i dalszą częścią parku mieścił się ogród warzywny od południa, a od północy stał samotny, mieszkalny budynek, zwany - nie wiedzieć czemu - „Majdanem”. Czyżby wyznaczał inne, dawniejsze położenie folwarku? Był murowany, masywny, podpiwniczony i nakryty, jak niemal wszystkie tu budynki, gontowym dachem naczółkowym. Wyglądał bardzo sędziwie, a jego osamotnienie było dość niezwykle. Ale pamiętam go pamięcią chłopca: gdy tam byłem w latach sześćdziesiątych po „Majdanie” pozostało tylko kłębowisko pokrzyw.

Przejście z domu do parku dwiema obrzeżonymi drzewami alejkami, umożliwiały - po obu krańcach - dwa mostki, zwane popularnie „garbatymi”, Jakieś przyćmione echa japońskich tendencji przejmowanych przez Europę w sztuce ogrodów, łączyły się harmonijnie z fantazją cieśli, którzy balustrady wykonywali z nie okorowanych gałęzi brzożowych.

To była reprezentacyjno-widokowa część założenia, ku południowi przedłużała się częściowo odrzewionym kanałem łączącym staw przed domem z drugim stawem, który był rezerwuarem ryb, energii dla stojącego tu młyna, z turbiną wytwarzającą energię elektryczną, a także - dzięki gliniastej konsystencji dna - ulubionym miejscem kąpieli w dni upalne. Obok tego stawu była wyjątkowo wysoka i gwałtownie urywająca się, również gliniasta szkarpa, w której istniała wyrwa, a w niej jakieś metalowe resztki i gruz ceglany. Nazywano to miejsce „starą cegielnią” i sądzę, że funkcjonowała ona w czasie „fabryki” dworu, bowiem przy wszystkich unowocześnieniach, przy tej bieżącej wodzie i elektryczności, wszystko tu miało charakter zamkniętej samowystarczającej gospodarki. Gdy trzeba było zmieniać pokrycia dachowe, to na jakiś czas instalował się warsztat strugania gontów i wytwarzano je wówczas masowo i „na zapas”. Czasowo pracowały też warsztaty

rymarski i powroźniczy, stale natomiast stolarski, kuźnia, młyn. Tkano też płótno lniane na worki i letni przyodziewek, a długie pasma rozkładano w dni słoneczne na łące i na trawniku nad stawem, gdzie się w słońcu bielily.

Powróćmy jednak do dworu. Towarzyszyły mu bezpośrednio zabudowania o częściowo gospodarczym przeznaczeniu. Od południa stała oficyna, która była niewątpliwie starsza od dworu w jego ostatecznej „czachórskiej” formie. Połączenie skromnych cech klasycystycznych i neogotyckich było charakterystyczne na tych terenach dla połowy XIX wieku i wówczas chyba zbudowano ten niemal kwadratowy, piętrowy budynek. Od frontu był tu wysunięty okap, osłaniający schody i podest prowadzący na to piętro, na którym były letnie pokoje gościnne. Na parterze były pomieszczenia warsztatowe - rymarski np., a od tyłu do oficyny przylegał parterowy, wydłużony budynek tzw. „piekarni”, mieszczący rzeczywiście wielki gliniany piec piekarniczy, gdzie białe i pulchne bochny złożone na liściach kapuścianych nabierały złocistej, lekko spękanej faktury. Tu też - na Święta, zwłaszcza Wielkanocne, wykonywano rozmaite smakołyki, a najsilniej w pamięci oczu i podniebienia utkwił mi proces wytwarzania „sękacza”, który rodził się na różnie z kucharzowego polewania naprzemian żółtawym ciastem mlecznym, to znów brązowym - czekoladowym.

Pomiędzy oficyną a dworem wytworzył się niewielki plac, pośrodku którego był zamontowany kierat. Stróż - „dziadek” Dąbrowski przy pomocy starego, ślepego wałacha codziennie napełniał przy pomocy tego kieratu i pompy zbiornik na wodę na strychu. Gdy ten zbiornik był już pełen, woda zaczynała wyciekać przez jedną z rynien i tworzyła malownicze kałuże, a że „dziadek” był głuchy, więc trzeba było bardzo głośno wołać „dziaaaadku”, by przestał zataczać wraz z wałachem cierpliwe kręgi.

Za oficyną były jeszcze dalsze budynki gospodarcze: sporty, murowany, zwany drewnią, królestwo tegoż „dziadka” Dąbrowskiego, ale w gruncie rzeczy było to magazynowe zaplecze szklarni inspektów, którą wokół otaczał mur - nie tyle przed złodziejami, co przed zimnymi humorami aury. To było niżej, przy wejściu do kanału. Wyżej był drewniany kwadratowy budynek bez okien, za to z wysokim namiotowym dachem. Była to tzw. „lodownia”, osłaniająca dość głęboki dół, który się zimą mościło słomą, potem układało cięte na stawie młyńskim kostki lodu, które nakryte grubą

koldrą słomianą, trwały aż do późnej jesieni, pozwalając na chłodzenie różnych artykułów żywnościowych, a w upalne niedziele na wyrabianie lodów. Pomędzy drewnianą a lodownią była jeszcze spora w szkarpie wydrążona i obmurowana piwnica służąca do przechowywania ziemniaków. A dalej, za płotem, rozciągał się sad i nigdy mi już gruszki, a zwłaszcza jabłka nie smakowały tak bardzo jak te, które sobie tam wedle gustu i pory doбираłem.

Jak wspomniałem od bramy do dworu wiodła kręta alejka przeobrażająca się w kolisty trawnik z kępami róż. Tam, gdzie alejka otwierała się w ów kolisty podjazd, stała maciupenka i skromna domkowa kapliczka, przed którą w majowe wieczory mama intonowała, a kobiety z folwarku wyciągały piskliwymi głosami pieśni i „litanije”.



Ruiny dworu rodziny Chrzanowskich w Moroczynie, fot. Przemysław Nowosad, Wikimedia Commons

Na lewo, poza kurtyną drzew, stał parterowy ale na wysokich piwnicach murowany spichlerz, mieszczący drugą kondygnację strychową, w obszernym, oczywiście naczółkowym i gontowym dachu. Wydawał się bardzo starożytny i bardzo solidny, ale i on się zawalił. Pod domem nie było właściwie piwnic, tylko „nowoczesne” sutereny o stropach Kleina. Pod spichrzem piwnice były rzeczywiście przepastne, sklepione kolebkowo, pachnące jabłkami i przechowywanymi tu na zimę warzywami.

Na prawo od podjazdu rozciągał się folwark. Najpierw, zaraz za bramą, wzdłuż drogi stały dwa drewniane czworaki, gdzie mieszkały rodziny fernali. Przed wojną ojciec rozpoczął budowę nowego czworaku, ceglanego, więc jeden z tamtych zburzono. Ciekawostka: temu nowemu nadano formę całkowicie tradycyjną - miał podziały ramowe i ów nieodzowny dach naczółkowy, a że gontem kryty to oczywiste - był bowiem wówczas pokryciem najtańszym, produkowanym we własnym zakresie. Właściwy dziedziniec rozciągał się obszernie w bok od bramy. U wejścia na słupie wisiał stary lemiesz, na którym gumieny odstukiwał godziny pracy, a w zakolu, bliżej domu, znajdowała się studnia, drewniana - łącznie z ocembrowaniem i nakryta dachem namiotowym na słupach, który osłaniał kołowrót obracany wielkim kołem. Obok było koryto drążone w połowie pnia dość sporego drzewa, bo tu pojono było i konie.

Dziedziniec zamykał parawanowo mur uformowany rytmicznie przysadzistymi półkolumnami i mieszczącymi pośrodku bramę utworzoną z dwu cylindrycznych, ogzymsowanych słupów zwieńczonych piramidkami. Mur ten spinał dwa budynki: stajni od wschodu i obory od zachodu - długich murowanych budynków z podziałami ramowymi i gontowymi dachami, z koślawymi wystawkami. Wewnętrzne gumno, bezcenne składowisko gnojówki i nawozu, zamykał wreszcie od południa budynek stodoły.

I - poza pomniejszych budynkami - kurników, chlewów, wiat itd. nie było już nic więcej, tylko ta rozległa, nostalgiczna panorama pól. Uprawiało się je tradycyjnie, przede wszystkim siłą koni, stąd tak obszerne stajnie, a ponadto majątek specjalizował się w hodowli koni dla wojska - tak zwanych remontów. Ojciec próbował mechanizować rolnictwo, ale możliwości były ograniczone ze względu na właściwości owego hrubieszowskiego czarnoziem: traktor mógł tu pracować tylko w naprawdę suche dni. W pola, do sąsiednich folwarków, jeździło się też przeważnie

pojazdami konnymi: bryczką, dwukółką, a gdy było sucho także samochodem - dość już starożytną, ale niezawodną „Chevroletą”. Na wyjazdy do Hrubieszowa, jeśli były „bardziej paradne”, wytaczano z wozowni wolant lub - gdy zagrażał deszcz - powóz z „budą”. W tej wozowni stała jeszcze kareta, ale nie pamiętam by się nią kiedykolwiek posługiwano. Natomiast „park samochodowy” dopełniał potężnych rozmiarów samochód marki Deimler, który służył do dalszych wypraw. Ale te „fumy” nieskutkowały natychmiastowo - kiedy na drogach robiło się błotniście, trzeba było poczciwego Deimlera dociągać te pół kilometra do szosy końmi, w związku z czym Europa zaczynała się dopiero w Teptiukowie.

I to byłoby wszystko, co chciałem opowiedzieć i pokazać, celem moim było bowiem podjęcie próby pokazania nie tyle form architektonicznych, ale „sposobu istnienia” folwarku w okolicy, która jeszcze wcale nie należała do Kresów, ale z naszego punktu widzenia zalega już na kresach dającej się pamięciowo dosięgnąć historii. Chciałem pokazać rozmaite funkcje i system owej gospodarki zamkniętej, która z folwarku tworzyła jednostkę społecznie i ekonomicznie w pewnym sensie zamkniętą. W dawnej polszczyźnie określenie „dwór” stosowano częściej do tej całości niż do mieszkalnego budynku, który zwano „domem pańskim”. I ta terminologia ujawnia specyficzność tej sielskiej ontologii, która dawną Rzeczypospolitą usiała niezliczonymi gwiazdozbiorami wielkich i małych sąsiedztw. Moroczyn z mej pamięci to już ostatnie echo tej struktury stanowo-gospodarczej. Aże - poza dworem już nic tam z niegdysiejszego zespołu zabudowy nie zostało, więc wydało mi się pożytecznym zrekonstruowanie tej minionej całości. Dodatkowo mogłem przy tym zadość uczynić własnym wspomnieniom i to już moja osobista korzyść.

*

Tadeusz Chrzanowski - historyk sztuki, nieustrudzony działacz na polu opieki nad zabytkami kultury, eseista, poeta, fotografik.

Zobacz też:

Polskie dwory i pałace

Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

Wielkanoc w mirogonowskim dworze

Dwór, w którym zaklęta jest historia

Karp królewski z Bełdowa

Serce Paderewskiego



Ignacy Jan Paderewski przemawia do tłumów, fot. ze zbiorów Culver Pictures, Inc, arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka

Ignacy Jan Paderewski zmarł 29 czerwca 1941 r. w Nowym Jorku. Właśnie minęła 80-ta rocznica jego śmierci.

Cieszyłem się swoim powodzeniem. (...) Wiedziałem też, że już pokochałem Amerykę.

Ignacy J. Paderewski, „Pamiętniki”, spisała Mary Lawton, Kraków 1967 r.

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

HOME **SUNDAY NEWS** **5 CENTS**
NEW YORK'S PICTURE NEWSPAPER
Copr. 1941 by News Syndicate Co. Inc. Trade Mark Reg. U. S. Pat. Off. PAY NO MORE
Vol. 21. No. 12 New York, Sunday, July 13, 1941* 36 Main+16 Comic+16 Coloroto Pages

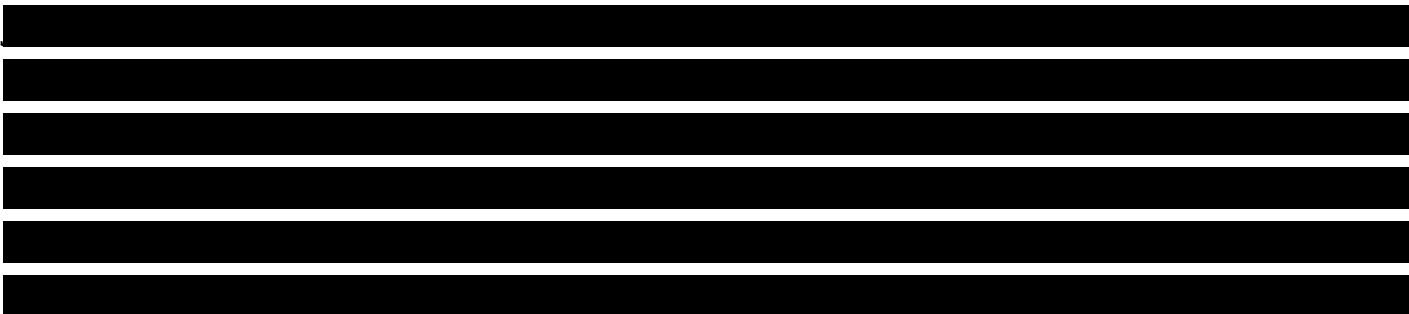


(NEWS foto)

Great Tribute . . .

to a great man. An honor guard of American soldiers stands at attention before St. Patrick's Cathedral as priests watch Polish veterans carry the casket of Ignace Paderewski, 80, patriot and musician, to a caisson. Body was taken to Pennsylvania Station, placed on a train for Washington for burial in the National Cemetery.

Pierwsza strona nowojorskiej gazety „Sunday News” z 13 lipca 1941 r.. Pogrzeb Ignacego Jana Paderewskiego. Kondukt żałobny wychodzi z Katedry Św. Patryka, arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka



[REDACTED]

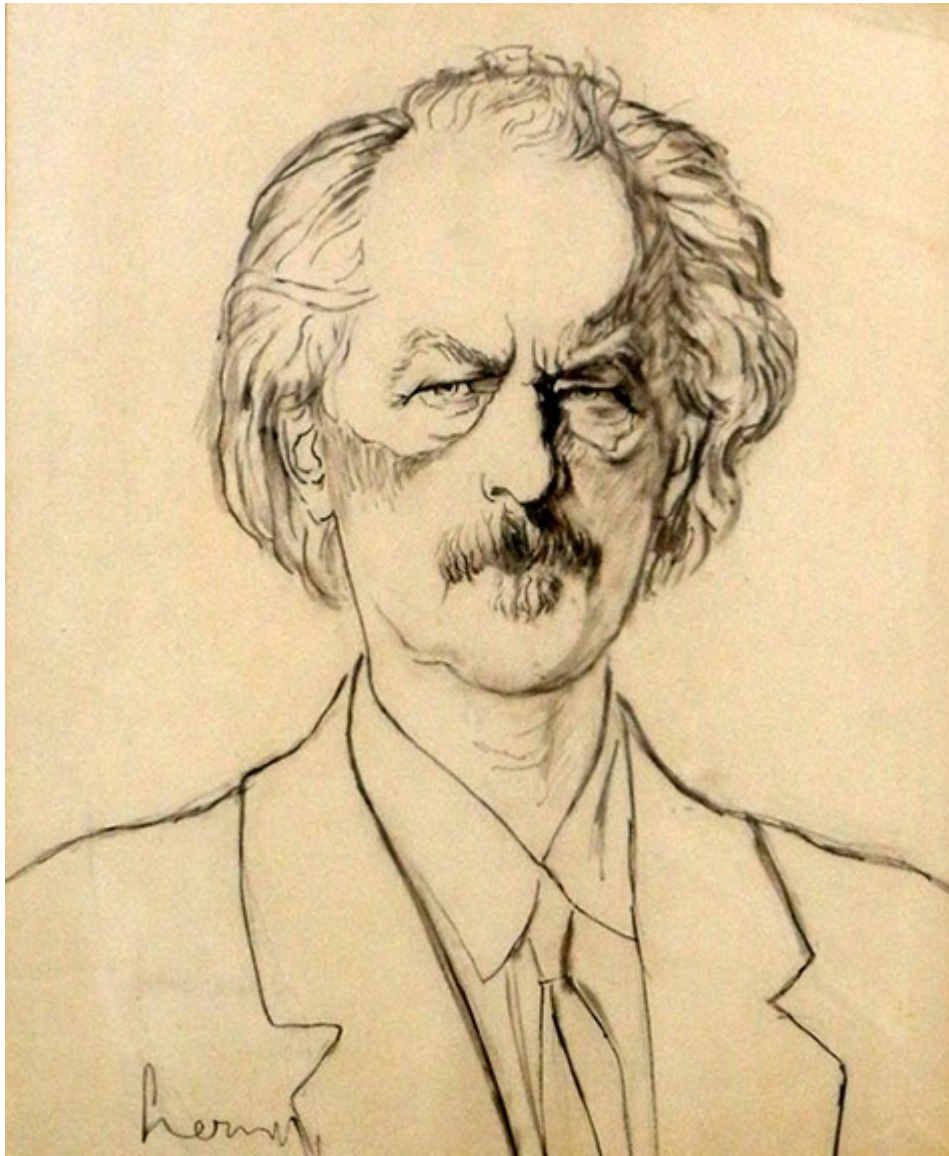
[REDACTED]

[REDACTED]

Do najważniejszych uroczystości, które organizowałem, należał manifestacyjny pogrzeb w Nowym Jorku, wraz z przewiezieniem zwłok do Waszyngtonu, ś. p. Ignacego Paderewskiego.

[REDACTED]

[REDACTED]



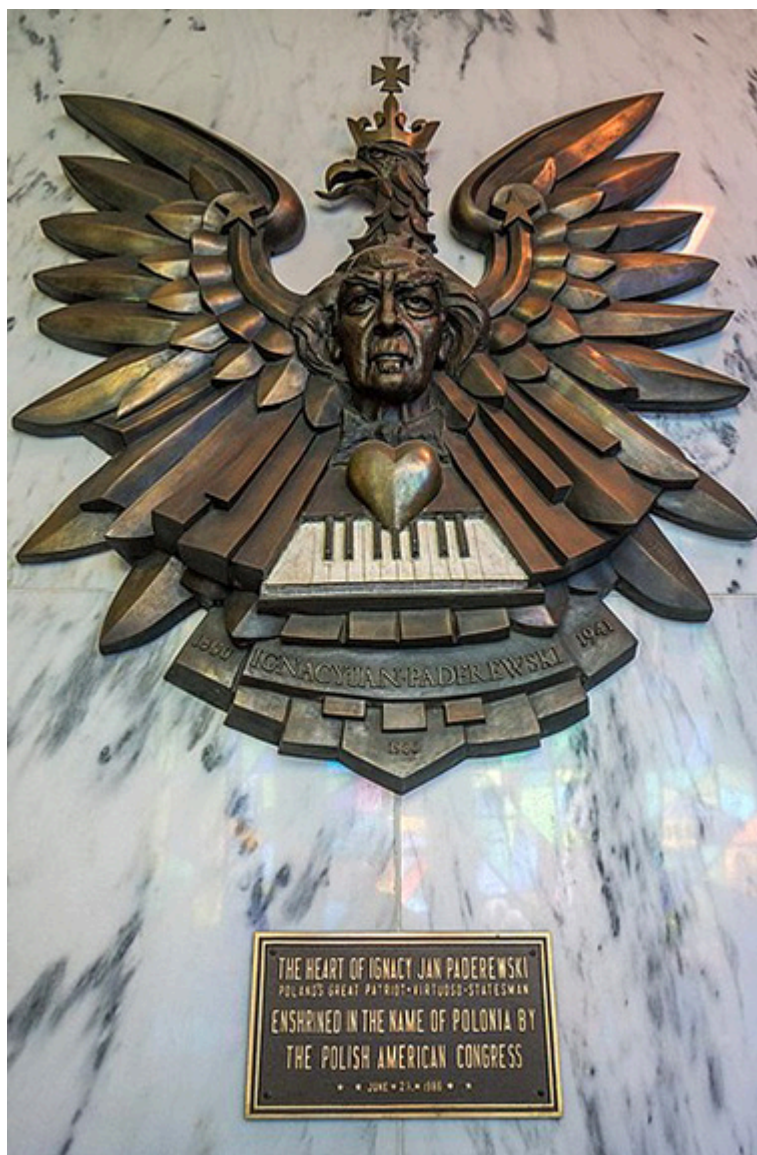
Portret Ignacego Paderewskiego autorstwa Zbigniewa Czermańskiego

[REDACTED]

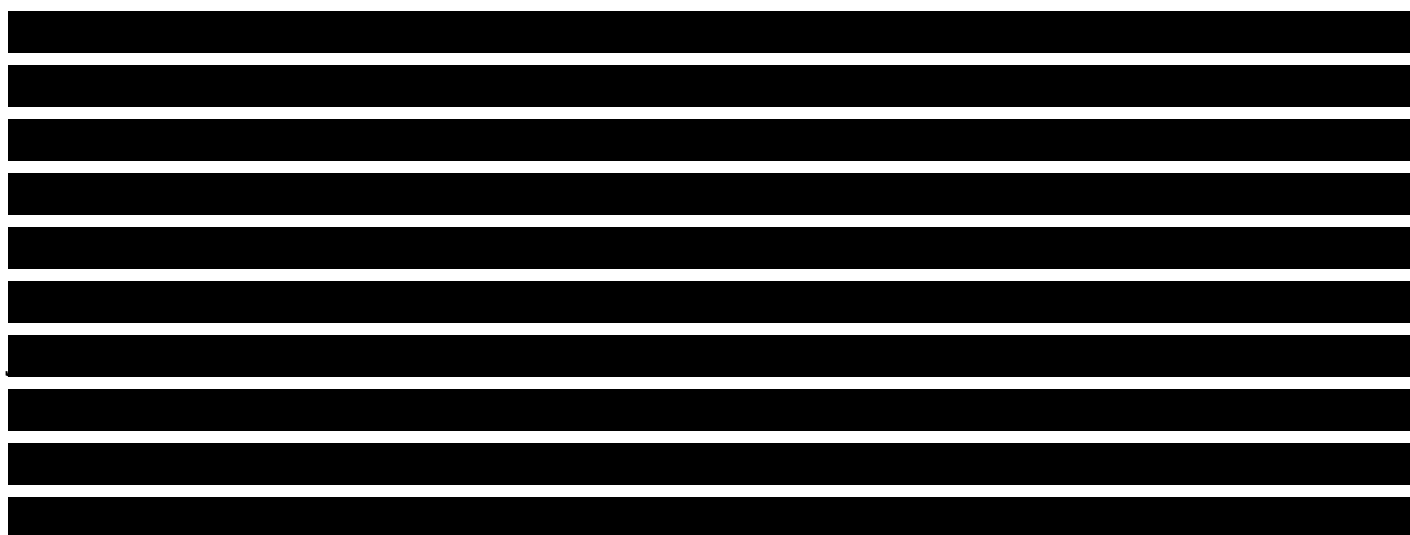
[REDACTED]

*Narodowe Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej jest zaszczycone i
szczęśliwe, że może przyjąć serce Paderewskiego.*

[REDACTED]



Serce Ignacego Jana Paderewskiego - Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej (Doylestown, PA), rzeźba Andrzeja Pityńskiego, fot. wikimedia commons



[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

█

Zobacz też:

Żywot Paderewskiego

Andrzej Pityński - twórca niezłomny

Lipcowe rocznice



Jan Matejko, Bitwa pod Grunwaldem, Muzeum Narodowe w Warszawie, fot. domena publiczna

Włodzimierz Wójcik (1932-2012)

Nazwa jest dość jasna. Pochodzi od kwitnięcia drzewa lipowego. Dawniej był to lipień - od podbierania barci pszczelich. Ten miesiąc, który otwiera drugie półrocze jest dosłownie przeładowany zdarzeniami historycznymi i tym wszystkim, co dzieje się w świecie przyrody. W lipiec 2006 roku wpisana jest przede wszystkim dwięściesiedemnasta rocznica zburzenia paryskiej Bastylji, symbolu starego porządku, którego stany - dotychczas upośledzone - miały po prostu dość. To właśnie z tamtego obszaru historii pochodzą szczytne, prawdziwie ludzkie hasła: Wolność, Równość, Braterstwo - nigdy i nigdzie niezapomniane. Dziś, jak i dawniej

pociągające, aktualne, niezbędne do życia w ładzie społecznym, niczym czysta woda i przejrzyste powietrze. Dla nas, Polaków powodem do dumy jest - niejako spokrewniony ideowo z tamtym „lipcem francuskim” - Sejm Czteroletni, promujący nad Wisłą idee wolnościowe; sejm, który wydał szlachetny, najszlachetniejszy owoc w postaci Konstytucji Trzeciego Maja. Jest co wspominać i jest co - dziś i jutro - naśladować...

To był wiek osiemnasty. Przecież jednak i kilka stuleci wcześniej zrodziły się idee równie budujące. 1 lipca 1569 roku - podpisany został doniosły akt Unii Lubelskiej, który łądził stosunki pomiędzy Koroną i Litwą, umacniając wewnątrz i zewnątrz kształt Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Pamiętam lata sześćdziesiąte, gdy jako pracownik nauki Uniwersytetu Jagiellońskiego oprowadzałem gości z Wilna po wzgórzu wawelskim. Litewscy uczeni byli wyraźnie zaskoczeni i prawdziwie wzruszeni, kiedy stwierdzili, że na portalach, na licznych płaskorzeźbach herby Korony i Litwy, Orzeł Biały i Pogoń - są tej samej wielkości. Cóż mogłem wówczas powiedzieć? Jedynie prawdę. To właśnie, że owe znaki i dawne symbole wyrażały samą istotę współżycia narodów połączonych unią braterstwa, unią opartą na gruncie zachowania podmiotowości każdej ze stron... Jeśli się cofnie pamięcią do roku 1410, to stanie przed naszymi oczyma słynna (15 lipca) bitwa pod Grunwaldem przypominana wielokrotnie przez malarzy, pisarzy, filmowców...

Inne lipcowe rocznice. Jest ich - jak wiadomo - wiele. Jaśniej blaskiem - jak wspomniano - rocznica zwycięskiego Jagiełłowego Grunwaldu. Warto też wymienić jeszcze dwie; z innej niejako dziedziny. Czwartego lipca (1934 r.) zmarła Maria Skłodowska-Curie, a dziewiątego tegoż miesiąca (1929 r.) Julian Fałat. I ona i on odeszli, a żyją i świecą, niczym żywe pochodnie pośród szarzyzny naszej codzienności i udręki, zaświadczać na każdym kroku, że uczone i artysta - mocując się z trudnym tworzywem - ciężary i ryzyko biorą na siebie, a otoczeniu i światu dają szczerze same WARTOŚCI. Warto o tym pamiętać dzisiaj, kiedy profesor uniwersytetu może za swoje miesięczne pobory kupić sobie na targu 2500 pęczków koperku... Można to zresztą przeliczyć na buraczki, na marchew. Jak kto woli. To mało ważne. Ważne jest to - i zarazem smutno - że to zaledwie tyle.

Ala przecież lipiec, miesiąc miódny, miesiąc wakacyjny niesie nam bardziej radosne tony. W dziewiętnastym wieku poetka, dziś niesłusznie uważana za nieco

staromodną, Maria Konopnicka bujny rozrost przyrody wiązała z nadziejami na odzyskanie przez nasz kraj Niepodległości. W wierszu *Lipy kwitną...* pomieszczonym w zbiorze *Linie i Dźwięki* (1897) pisała wyrażając przeświadczenie, że lipcowe słońce rozgrzeje patriotyczne uczucia narodu i umocni jego wolnościowe aspiracje:

*Lipy kwitną... Więcej wonie miodu,
Prastarego więcej wonie cudu...
W słońce spojrzął ślepy syn narodu,
W słońce spojrzął duch mojego ludu!*

Jarosław Iwaszkiewicz natomiast tak wyrażał nastrój własnej duszy w liryku *Lipiec* z międzywojennego tomu *Księga dnia i księga nocy* (1929):

*W niebieskim ogrodzie
Wonno i przyjemnie
Obłoki jak łodzie
Przepływają we mnie...
I wszystko się zlewa
W łagodną pogodę.
Lipiec miodem śpiewa
Złoci żyto młode.*

Innym sposobem, w innej poetyce i stylistyce, rzecz ujmował przedstawiciel Krakowskiej Awangardy, Julian Przyboś. Nie mogą nas wcale zaskakiwać u niego, nauczyciela języka polskiego w szkołach cieszyńskich w międzywojniu, takie oto radosne metafory, które zastosował w wierszu *Lipiec* (tom *Równanie serca* - 1938):

*Na świadectwach, wzbici w radość, odlecieli uczniowie,
drży powietrze po ich śmigłym zniku.
Wakacje, panie profesorze! Pora
trzepać wesoło słowa jak futra na wiosnę*

oraz

czasowniki przez dni lata odmieniać!

To prawda. W lipcowe dni, zaprawione wonią kwiatu tak bardzo dobrego „na kaszel”, nie zawadzi refleksja o naszej historii, nie zawadzi też odrobina euforycznej radości, jaką niesie przyroda i poezja. Ale ta refleksja powinna zapewne walczyć uwzględniać wielowiekowe doświadczenia Polaków zawarte w przysłowiach, których – w odniesieniu do lipca – jest wyjątkowo dużo. Jedne mówią o zbliżających się pożytkach: „Kiedy lipiec daje deszcze, długie lato będzie jeszcze”; „Lipcowe upały, wrzesień doskonały”; „Lipiec upały, wrzesień doskonały”; „W lipcowej porze łowią raki i piskorze”; „W lipcu słońce znów doskwiera, miód na lipach pszczołka zbiera”.

W niektórych zawarte są nauki i porady, niekiedy ostrzeżenia: „Gdy po gorącym lipcu sierpień chłodzi, twarda zima i duży śnieg zaszkodzi”; „Lipcowe deszcze, dla chłopca kleszcze, a jak pogoda, większa swoboda”; „Lipiec, ostatek chleba wypiecz”; „Od lip ciągnie wonny lipiec, nie daj słońku kłosa przypiec”; Upały lipcowe wróżą mrozy styczniowe”; „W lipcu trza gotować, co na jesień obiadować”. Tyle tych mądrości, przezorności. To dobrze... A nam co pozostaje na wakacje? Chyba jeszcze raz posłuchać słynnego „Iwaczy” ze Stawiska. Tym razem mamy wybrane strofy wiersza *Lipiec* (z tomu *Krągły rok*):

*Pachną lipce – Reymontowskie
i zwyczajne
pełne rowy kwietnej piany
miododajnej*

*kopic żyta złote róże
ściąga sinych wstążek krata
rzeki małe rzeki duże
Bzura Mrowa i Pilica
i Utrata
[...]*

*asfalt się roztapia w niebie
pełen olśnienie
i cholerne ciągnie ciebie*

w Polskę w Polskę

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Zobacz też:

Upojny klimat czerwca

Rozkwit poezji w maju

Janusz Krzyżanowski wśród Polonii



15 listopada 1997 r. Janusz Krzyżanowski w trakcie spotkania w IJPA poświęconego Tadeuszowi Katelbachowi, fot. arch. autora

Krzysztof Langowski (*Nowy Jork*)

Spoglądając z obecnej perspektywy na dzieje polskiego uchodźstwa niepodległościowego na terenie Stanów Zjednoczonych po zakończeniu działań wojennych w 1945 r. nie sposób ją sobie wyobrazić bez znajdujących się w niej znaczących osobowości. Te właśnie indywidualności swoim poświęceniem, a także działalnością polityczną, społeczną i jednocześnie troską o zachowanie narodowych imponderabiliów w walce z komunistycznymi wpływami na polonijne środowisko niepodległościowe, dawały realne świadectwo istnienia poza Polską wolnej myśli w dziedzinie utrwalania tradycji, kultury i prawdy historycznej narodu polskiego. Podejmując się obecnie próby wskazania kilku ważniejszych postaci, które podjęły skuteczną pracę w emigracyjnym środowisku, bez najmniejszego wahania, możemy wskazać przede wszystkim na Janusza Krzyżanowskiego, Stanisława Gierata, Tadeusza Katelbacha, Andrzeja Ehrenkretza i Wacława Jędrzejewicza.

Janusz Krzyżanowski urodził się 13 lipca 1921 r. w Buczaczu w woj. tarnopolskim, który obecnie znajduje się na terenie Ukrainy, jest przez nas w rzeczywistości zapamiętany, jako osoba która była przede wszystkim więźniem sowieckich łagrów, żołnierzem, działaczem społecznym i niepodległościowym na uchodźstwie. Wybuch drugiej wojny światowej we wrześniu 1939 r. i klęska osamotnionych wojsk polskich nie zniechęciła go jednak do kontynuowania walki z okupującymi kraj wojskami niemieckimi i sowieckimi. Podjął próbę przedostania się ze Lwowa, gdzie mieszkał, przez granicę z Rumunią do tworzącego się we Francji Wojska Polskiego. Niestety został aresztowany przez oddział NKWD i następnie więziony we Lwowie i w obozie w Starobielsku. Skazany przez sąd sowiecki na dziesięć lat ciężkiej pracy, a następnie przewieziony do łagru w rejonie Peczora na Workucie. Dzięki podpisaniu umowy w dniu 30 lipca 1941 r. pomiędzy rządami polskim i sowieckim w Londynie, Krzyżanowski został uwolniony z łagru i dotarł do formującej się na terenie Rosji Armii Polskiej. Rok później razem z oddziałami polskimi został przetransportowany do Iranu, gdzie został przydzielony do Szkoły Podchorążych 8. Dywizji Piechoty znajdującej się w miejscowości Pahlawi. Wkrótce później po przerzuceniu go na Wyspy Brytyjskie został wcielony do dowodzonej przez gen. Stanisława Sosabowskiego Samodzielnej Brygady Spadochronowej, a następnie do Oddziału VI (Specjalnego) Naczelnego Wodza, gdzie na stanowisku instruktora zajmował się szkoleniem spadochronowym żołnierzy polskich. Koniec działań wojennych w 1945 r. i zajęcie kraju przez wojska sowieckie, a także utworzeniu tam komunistycznego systemu, zmusiły go do pozostania na stałe na emigracji. Dlatego też w latach 1946-1948 był przydzielony do rozlokowanego na terenie Wielkiej Brytanii Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Ostatecznie kilka lat później w 1951 r. przeniósł się z Wielkiej Brytanii do Stanów Zjednoczonych, gdzie zamieszkał na krótko w Chicago w stanie Illinois, aby rok później przenieść się i zamieszkać na stałe w Newark w New Jersey.



3 sierpnia 1979 r. Janusz Krzyżanowski i prezydent Jimmy Carter w trakcie spotkania w Białym Domu w Waszyngtonie, fot. arch. autora

Już po przyjeździe do Ameryki Janusz Krzyżanowski związał się z działalnością społeczną i wstąpił w szeregi istniejącej w Chicago placówki nr 2 Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej (SWAP). Jednakże rozłam, który nastąpił pomiędzy starymi działaczami, a nowoprzybyłymi żołnierzami z frontów II wojny światowej po decyzjach podjętych przez tych pierwszych na zjeździe SWAP w dniach 30-31 maja 1952 r. w Utica w Stanie Nowy Jork doprowadził do działań mających na celu zorganizowanie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Ameryce. Zebranie Komitetu Organizacyjnego nowej organizacji żołnierskiej odbyło się 16 listopada 1952 r. w sali bibliotecznej Polskiego Domu Narodowego przy Saint Marx Place na nowojorskim Manhattanie. Przeprowadzenie zjazdu założycielskiego stowarzyszenia SPK zaplanowano na 6-7 czerwca 1953 r. w jednej z sal hotelu Henry Hudson przy 57 ulicy na Manhattanie. Na podstawie decyzji podjętej przez Komitet Organizacyjny

umożliwiono także wzięcie udziału w planowanym zjeździe na prawach pełnomocnych delegatów dwudziestu trzem kawalerom orderu Virtuti Militari. Wśród nich znaleźli się m.in. założyciel Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce Wacław Jędrzejewicz i działający w tej placówce archiwalno-naukowej gen. Wincenty Kowalski. Po latach Janusz Krzyżanowski wspominał „Zjazd był wielkim wydarzeniem zarówno w życiu całej emigracji polskiej, jak i w życiu polsko-amerykańskim”. W obradach wzięło udział 59 delegatów z istniejących 22 kół terenowych komórek organizacyjnych, a także ponad 500 gości. Organizatorzy zjazdu w większości byli legalistami, uznającymi prawowitą władzę Polski – prezydenta i rząd Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie. Dlatego też na zjeździe był obecny przedstawiciel tych władz w osobie ambasadora Józefa Lipskiego. Uroczystego otwarcia zjazdu dokonał Stanisław Gierat, który w imieniu byłych polskich żołnierzy zapewnił o chęci pomocy polskiej emigracji dla Ameryki „w walce z komunizmem i dyktaturą Sowietów. Zawsze w dobrej, czy złej chwili będziemy po tej stronie, która walczyć będzie z tyranią komunistycznego ucisku, aż wolność zapanuje na całym świecie”.



15 sierpnia 2004 r., prezes SPK Janusz Krzyżanowski i Komendant SWAP Wincenty Knapczyk składają wieniec pod Kolumną Matki Boskiej Hetmanki Wojska Polskiego w Doylestown, fot. arch. autora

Pierwszym prezesem SPK został wybrany Stanisław Gierat, a Janusz Krzyżanowski na stanowisko sekretarza generalnego. Obejmując to stanowisko Janusz Krzyżanowski miał za zadanie zorganizowanie i jednocześnie kierowanie kancelarią nowej organizacji. W celu propagowania idei niepodległościowej i jednoczesnego manifestowania antykomunizmu w Ameryce, a także w celu starania się o pozyskanie przez SPK przychylności środowiska polonijnego, podejmowano się organizowanie wizyt w Stanach Zjednoczonych wyższych dowódców polskich z okresu II wojny światowej, którzy mieszkali w większości na terenie Europy. Jednym z takich przypadków było wykorzystanie swoistej okazji jaką było zaproszenie na dwumiesięczny pobyt w USA przez utworzoną w 1921 r. amerykańską organizację weterańską o wybitnie antykomunistycznym nastawieniu - PLAV gen. Stanisława Maczka. Generał Maczek wziął udział w dniu 3 września 1954 r. w XII Konwencji Krajowej PLAV, która się odbyła w Buffalo w stanie Nowy Jork. Kierownictwo SPK zdecydowało się wykorzystać pobyt generała propagandowo i dlatego też Stanisław Gierat i Janusz Krzyżanowski wzięli także udział w jego oficjalnej wizycie w dniu 26 października 1954 r. u prezydenta Dwighta Eisenhowera w Waszyngtonie.

Podczas obrad III Zjazdu SPK w dniach 25-26 maja 1957 r. odbywającego się w budynku Fundacji Kościuszkowskiej na Manhattanie Stanisław Gierat zrezygnował z ponownego kandydowania na stanowisko prezesa. Na to stanowisko został wybrany jednogłośnie Janusz Krzyżanowski. Nowy prezes był bardzo sprawnym organizatorem. Często wyjeżdżał i dokonywał wizytacji poszczególnych kół SPK i niejednokrotnie brał udział w ważniejszych uroczystościach. Jako przykład może posłużyć jubileusz piątej rocznicy działalności koła SPK w Cleveland w Ohio, gdzie w swojej wypowiedzi zachęcał miejscowych kombatantów do dalszej działalności, wskazując przy tym konieczność przystąpienia SPK do Kongresu Polonii Amerykańskiej. Apel Krzyżanowskiego związany był z treścią wysłanego przez niego wcześniej pisma w imieniu Zarządu Głównego SPK w dniu 2 sierpnia 1957 r. do prezesa KPA Karola Rozmarka, w którym zadeklarował chęć przystąpienia stowarzyszenia do tej organizacji. Krzyżanowski pisał m.in., że „SPK jest organizacją patriotyczno-polityczną, w sensie ogólnopolskim, której naczelnym zadaniem jest praca zmierzająca do odzyskania przez Polskę pełnej niepodległości. Ponieważ ten

sam cel przyświeca Kongresowi, przeto SPK jest organizacją, która daje pełną gwarancję lojalności i pożytecznej współpracy”. Organizacja została formalnie przyjęta do KPA w listopadzie 1957 r. Fakt przystąpienia SPK do KPA był zdaniem Krzyżanowskiego wyjątkowo doniosłym wydarzeniem, co znalazło swe odbicie na łamach wydawanego przez SPK pisma „Kombatant” nr 4 z 1957 r., gdzie pisano „Zacierało się bez potrzeby istniejące sztuczne różnice i podziały na tzw. starą i nową emigrację, wskazując, że nic nas nie powinno dzielić, a wszystko nas łączyć, gdy chodzi o dobro Sprawy Polskiej”.



20 czerwca 2017, spotkanie w IJPA z autorem książki „Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych w latach 1953-1990” Piotrem Kardelą. Stoją od lewej strony: Krzysztof Langowski, Beata Langowski, Janusz Krzyżanowski, Piotr Kardela, Mieczysław Madejski, fot. arch. autora

Jednocześnie w tym samym okresie Krzyżanowski zdecydowanie usztywniał swoje stanowisko do sytuacji politycznej, która zaistniała w Polsce po objęciu władzy przez Władysława Gomułkę. W swojej wypowiedzi z 25 sierpnia 1957 r. stwierdził m.in. „Nie ulega wątpliwości, że w Polsce zaszły duże zmiany po październiku 1956 r., ale

one są jeszcze dalekie od pełnej wolności i niepodległości kraju, co najwyżej Polska uzyskała autonomiczną niezależność w ramach imperium komunistycznego. W dalszym ciągu rządzi Polską ta sama partia komunistyczna, która jest odpowiedzialna za morderstwa i wyzysk narodu na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat. Kościół, pomimo wszystko nie uzyskał pełnej swobody. Na prasę nałożono już czerwony hamulec. Panuje nadal nędza i ucisk, a wreszcie Polska nie tylko jest pozbawiona Ziemi Wschodnich, ale w dodatku jest okupowana przez garnizony rosyjskie, których zadaniem jest ciągle trzymanie społeczeństwa w ustawicznym terrorze”.

Kilka lat później w trakcie posiedzenia VI Konwencji Krajowej KPA, która odbyła się w dniach 18-20 września 1964 r. w Chicago Janusz Krzyżanowski został wybrany na jednego z 18 członków wchodzących w skład Rady Dyrektorów tej organizacji. Był to także niewątpliwie symboliczny w swojej wymowie moment ponieważ po raz pierwszy od 20 lat od założenia KPA w jej władzach znalazł się przedstawiciel środowiska wywodzącego się z nowej emigracji wojennej. W tym okresie zarówno sam Krzyżanowski jak też i całe SPK dużo wysiłku włożyło w działania mające na celu zachowanie dotychczasowej postawy niepodległościowej realizowanej przez kierownictwo KPA, która była atakowana coraz bardziej przez przedstawicieli komunistycznego rządu państwa polskiego. Zabiegali oni o to, aby KPA ostatecznie pogodził się z rzeczywistością polityczną istniejącą w PRL i jednocześnie podjęło współpracę z rządem Gomułki. Działania SPK, które starano się realizować w celu zahamowania takich właśnie tendencji nie tylko w rzeczywistości pomogły w tym okresie w utrzymaniu dotychczasowej linii ideowej KPA, ale także zdecydowanie zaostrzyły stosunek do tych członków znajdujących się w tej organizacji, którzy podjęliby próby nawiązania kontaktów z placówkami dyplomatycznymi i konsularnymi reprezentującymi PRL. W dniach 27-29 września 1968 r. Janusz Krzyżanowski został ponownie wybrany na VII Krajowym Zjeździe Krajowym KPA na jednego z dwudziestu członków Rady Dyrektorów. Na tym stanowisko był wybierany przez wiele kolejnych kadencji.

Zarząd Główny SPK wydawał własne pismo „Kombatant w Ameryce”, w którym zamieszczano m.in. rzetelne relacje historyczne poświęcone tematycznie II wojnie światowej, a także działalności władz komunistycznych zarówno w Polsce jak też i ich przedstawicieli rezydujących na ziemi amerykańskiej, którzy podejmowali coraz

to nowe próby mające na celu skuteczniejsze wpływanie na polonijne środowisko niepodległościowe. Członkowie Zarządu zwracali się przy tym do władz poszczególnych kół o propagowanie na swoim terenie publikowanych przez nich informacji wśród społeczności amerykańskiej. Od chwili założenia SPK zarówno sam Janusz Krzyżanowski jak też wielu jej członków czynnie współpracowało w zakresie przedstawiania społeczeństwu amerykańskiemu prawdy o Polsce, jej kulturze, tradycji i historii najnowszej z istniejącym na terenie Nowego Jorku od 4 lipca 1943 r. Instytutem Józefa Piłsudskiego. Zarówno Instytut jak też i SPK łączyła przede wszystkim wspólnie propagowana idea niepodległościowa, wspieranie istniejących na uchodźstwie w Londynie władz państwa polskiego, a także niechęć do władz komunistycznych w Polsce. W szeregach zarówno Instytutu jak też i SPK działało wiele osób, wśród których można wyróżnić poza samym Januszem Krzyżanowskim także m.in. Stanisława Gierata, Wacława Jędrzejewicza, Leonarda Zub-Zdanowicza, Tadeusza Siutę, Wiesława Domaniewskiego, Stanisława Jordanowskiego, Edwarda Kleszczyńskiego, Jerzego Lerskiego, gen. Władysława Bortnowskiego, gen. Wincentego Kowalskiego, Andrzeja Pomiana, Andrzeja Ehrenkreutza i Tadeusza Katelbacha. Zwyczajowo także związki z IJPA były dodatkowo zaciśnięte przez fakt, że obydwaj prezesi SPK byli także członkami Rady w tej nowojorskiej placówce archiwalno-naukowej. Stanisław Gierat zasiadał w tym gremium od 1965 r. aż do swej śmierci w 1977 r. a Janusz Krzyżanowski w okresie od 1978 r. do 2019 r. Wyraźnym przykładem takiej właśnie współpracy, na który można wskazać, jest niewątpliwie również wspólna wizyta przedstawicieli SPK i IJPA w dniu 25 września 1965 r. u gen. Kazimierza Sosnkowskiego w Arundel w Kanadzie z okazji jego osiemdziesiątych urodzin. Z Nowego Jorku pojechali wówczas Stanisław Gierat, Janusz Krzyżanowski, Kazimierz Bendyk, Witold Nurczyński i Edward Kleszczyński.



4 grudnia 2018, Newark, New Jersey, Beata Langowski i Janusz Krzyżanowski z dokumentem awansu dla niego na stopień pułkownika podpisany w dniu 17 października 2018 r. przez szefa MON Mariusza Błaszczaka, fot. ach. autora

Wspólne działania mające na celu przeciwstawienie się akcji podjętej przez władze komunistyczne w Polsce, kierowane przez rząd Edwarda Gierka przeciwko środowisku niepodległościowemu w Ameryce podejmował Janusz Krzyżanowski wspólnie z działaczami Instytutu Józefa Piłsudskiego, także w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych XX w. Komuniści podjęli wtedy kolejną próbę mającą na celu doprowadzenie do skutecznego skonfliktowania ze sobą środowiska starej Polonii przeciwko powojennej emigracji żołnierskiej. Zgodnie z przyjętymi pierwotnie założeniami środowiska niepodległościowego amerykańskiej Polonii nawiązanie choćby luźnych kontaktów z instytucjami krajowymi w zdecydowany sposób podważało sens dalszego oporu wobec komunizmu i jednocześnie kontynuacji

trwania na emigracji. Dlatego też podobnie jak i w poprzednich latach działacze niepodległościowi wśród których zdecydowanie wyróżniali się zarówno sam Janusz Krzyżanowski jak też i ci, którzy byli skupieni w Instytucie Józefa Piłsudskiego trwali zdecydowanie w swoim sprzeciwie do zaistniałej po 1945 r. w Polsce rzeczywistości i dlatego też zostali nazywani przez swoich politycznych przeciwników „niezłomnymi”. Środowisko „niezłomnych” było przeświadczone o tym, że nie można było zaakceptować nawet najmniejszych ustępstw, niezależnie, czy miało to być związane z podjęciem kontaktu z instytucjami naukowymi w PRL, korzystaniem z biur zagranicznych Pekaó lub Orbisu, zakupami w Cepelii, pójściem na koncert zespołu pieśni i tańca „Mazowsze”, czy choćby także o zwykłą chęć odwiedzenia rodziny mieszkającej w Polsce. Takie właśnie ustępstwa pojmowane było przez nich jako bezwzględna zdrada ideałów niepodległościowych. Dlatego też zdecydowanie zaprotestowano w tym czasie m.in. przeciw zapraszaniu do Ameryki przez polonijne instytucje działaczy komunistycznych jak prezesa Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” prof. Mieczysława Klimaszewskiego i referenta spraw polonijnych w Komitecie Centralnym PZPR prof. Hieronima Kubiaka.

Janusz Krzyżanowski zmarł 21 marca 2019 r. w Newark w New Jersey. W trakcie uroczystości pożegnalnej zmarłego w dniu 30 marca 2019 r. w kościele św. Stanisława Kostki na nowojorskim Greenpoincie dr hab. Sławomir Cenckiewicz w swojej wypowiedzi stwierdził m.in., że odprowadzając na wieczną wartę

płk Janusza Krzyżanowskiego rozstajemy się dzisiaj bezpowrotnie z epoką niepodległościowego wychodźstwa w Ameryce. Odszedł ostatni z wielkich niezłomnych i nieprzejednanych przedstawicieli emigracji, którzy od czasu II wojny światowej - wspólnie z Polonią - dźwigali na swoich barkach trud walki o Sprawę Polską w Ameryce. [...] Żegnamy więc dzisiaj Człowieka, którego żywot ostatnich dekad stanowi pewną klamrę epoki, a cały żywot nas zwyczajnie zawstydzają, bo jego naczelnym imperatywem była służba dla Polski, aż do wyrzeczenia się własnego szczęścia, zaszczytów, wygod i bogactwa. „Wszystko dla Polski - nic dla siebie” - oto dewiza, którą żył płk Janusz Krzyżanowski!.

Artykuł ukazał się w tygodniku „Kurier Plus”, 22 maja 2021 r. nr 1393 (1693) na stronach 1 i 12.

Zobacz też:

Wacław Jędrzejewicz w 128. rocznicę swoich urodzin

Pierwsze lata po wojnie - Academia Zamoscensis

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)



Po lewej gmach Akademii Zamoscensis, w środku dzwonnica kolegiaty, obecnej katedry, fot. arch. autorki

Tym razem piszę o Zamościu i szkole okresu stalinowskiego. Tak wiele się

zmieniło od tej pory, że myślę o przekazaniu pokoleniu moich wnuków, jak wyglądała wtedy szkoła i jaką wychowawczą organizacją było harcerstwo w wydaniu przedwojennym. Ponieważ obecne szkoły średnie stały się zagrożeniem tak dla uczniów, jak i dla nauczycieli - uważam, że powrót do sprawdzonych metod wychowawczych mógłby pohamować głupią przemoc i wybryki z nudów. Zamieszczonych w moich wspomnieniach pieśni patriotycznych dzisiaj już nikt nie zna, widać zaniedbanie rozwoju duchowego, zanik wrażliwości na piękno przyrody, miłości do krajobrazu i zabytkowej architektury. Wydaje mi się, że prawdziwa, rzetelna wiedza historyczna mogą przynajmniej pomóc odciągnąć młodzież od wpływu tej zagubionej moralnie z prawej drogi. Myślę, że mówienie i uprzytamnianie jednak coś da.

Po powrocie z niewoli, ojciec zabrał nas do Zamościa, gdzie była już ciocia Janka, siostra ojca i babcia - Mateńka. Początkowo zmuszeni byliśmy zamieszkać w jednym z domów posesji ojca, ale nie w tym ukochanym. Dwa niewielkie pokoiki i zimno-wilgotna kuchnia z wejściem bezpośrednim ze dworu. Mama przestała się poruszać. Ostry ischias (*rwa kulszowa, przyp. red.*) tak biedną zaatakował, że nie mogła wstać z łóżka. Miała wtedy dopiero 46 lat. Ojciec chorować zaczął na wrzody (karbunkuł), które wysypywały się na karku, bardzo bolesne i usztywniające, paraliżujące wszelkie ruchy. Miał tyle samo lat, co mama. Oboje bardzo cierpieli. Pracę dostał w PKO mieszczącym się w tzw. Centralce, czyli tam, gdzie przed wojną, ale pensja była tak mała, że nie mogliśmy się z niej utrzymać. Było głodno. Od września zaczęliśmy wszyscy chodzić do szkoły średniej. My z Elą do żeńskiego Liceum im. Marii Konopnickiej, bracia do Liceum im. hetmana Jana Zamoyskiego. Obie szkoły mieściły się wówczas w ogromnym, zabytkowym gmachu Akademii Zamoscensis z bardzo dobrymi tradycjami.

Pierwsze powojenne Święta Bożego Narodzenia obchodziliśmy w ciasnocie z bardzo kłującą choinką z jałowca, która musiała stać na kufrze. Jedno spanie było na biurku taty wciśniętym w kąt, drugie na wyrku pod oknem. W drugim pokoju na zsuniętych łóżkach mieścili się rodzice ze mną i Elą, dopóki siostra nie wywalczyła sobie własnego pokoju w naszym domu.

Przyjmowaliśmy gości - serdecznych przyjaciół rodziców. A byli nimi ks. dziekan

Zawisza, proboszcz kolegiaty zamojskiej i pani Irena Czaplicka, więzień Auschwitz. Państwo Czapliccy mieszkali przed wojną po sąsiedzku i zawsze zapraszali nas wszystkich. Dom podobny do naszego był na kształt dworu z dużymi pokojami, ładnie urządzone. Pamiętam wiszące na choince marcepany w różnych kształtach, jak bombki. Podniesiono mnie wysoko i pozwolono wybrać coś, co mi się najbardziej podoba. Wskazałam na długą laskę w złotym opakowaniu. W środku były karmelki. Długo zjadałam ją po kawałku. Takie nieistotne szczegóły pozostają w pamięci – nie wiadomo dlaczego. Pamiętam też pierwsze imieninowe prezenty od pani Czaplickiej. A tymi cieszyłam się ogromnie. Srebrny pierścionek z oczkiem w kolorze miodu nosiłam z dumą, podobnie, jak granatową wstążkę do moich warkoczyków.

Mama wyjechała na kurację do Buska Zdroju. Chodziliśmy wtedy na obiady do Caritasu, gdzie dawano jednodaniowe posiłki dla ubogich. Zaliczaliśmy się co takich. W domu jedliśmy na okrągło pęczak. Do dzisiaj nie mogę na niego patrzeć. Po ośmiu tygodniach leczenia, witaliśmy mamę stojącą na własnych nogach. Stał się cud, życie wróciło do normy. Poza tym obrodziły jabłonie, piekło się więc postną szarlotkę bez cukru i z szarej mąki, ale to i tak było wspaniale. Zupa owocowa zastąpiła znienawidzony pęczak. Najważniejsze było to, że wszyscy się uczyliśmy, a szkoły nasze miały znakomitych profesorów i oddanych pedagogów. Braci moich uczył znany i powszechnie lubiany prof. Michał Pieszko – historyk i geograf. „Cześć marszałkowi – krzyczeli chłopcy chórem – globus i pałka to symbole marszałka! Cześć, cześć, cześć!” I dopiero wtedy wolno było usiąść, bo trzeba dodać, że za moich czasów zawsze wstawało się na powitanie profesora dla okazania szacunku (o, gdzie te obyczaje?) oraz odmawiano modlitwę na początku pierwszej lekcji i na końcu ostatniej. Dodatkowo także na lekcjach religii. Drugim popularnym pedagogiem był prof. Miller, założyciel zamojskiego ZOO, które powiększone istnieje do dzisiaj. Dyrektorem gimnazjum męskiego był wówczas prof. Michał Bojarczuk, a w naszym żeńskim pani Maria Kaczyńska, później pani Hanna Porębska.

Wybitnymi naszymi profesorkami były: pani Lucyna Kniaziowa wspaniała polonistka i uwielbiana wychowawczyni. Niesłychanie skromnie ubrana, przeważnie na granatowo. Miała ciemne włosy uczesane gładko w wałek pod spód ujęty w siatkę dla idealnego porządku. Jej szaro-niebieskie oczy przenikały na wylot dogłębnie każdą z nas, po prostu czytała w naszych głowach, sercach i duszach. Nie sposób było zapomnieć mądrości tych oczu. Była w nich prawość, czystość, uczciwość, powaga i

dobroć zarazem. Lubiła młodzież i rozumiała ją. Dzisiaj, z perspektywy czasu podziwiam Jej takt i umiejętność przekazywania wartości literatury polskiej w okresie, gdy zacierano wszystko, co patriotyczne, wszak rozpoczął się już reżim stalinowski. Ile kosztowały ją zdrowia wizytacje o charakterze politycznym z tendencją, by nauczyciela lub szkołę skompromitować, jak bardzo denerwowała się o nas i za nas - wiedziałyśmy to po charakterystycznej, czerwonej plamie na szyi. Zdaje się, że nasza klasa nigdy nie zawiodła.

Drugą osobowością pedagogiczną była madame Maria Markuszewska, romanistka. Uczyła nas trudnej wymowy języka francuskiego z lusterkiem, co pomagało korygować układ ust. Bezlitośnie wyśmiewała nieudolne „siur”, „dziur”, „že ne se pa”, „že ne we pa”. Sama znała język znakomicie. Była po Sorbonie i po wielu latach spędzonych we Francji. Dystyngowana dama, wyprostowana, lekko uśmiechnięta z buzią w ciup, uczesana starannie w koczek z tyłu i niezmiennie w granatowym „mundurku”. Była po prostu wzorowa! Uczyła nas przy każdej okazji dobrych manier i kultury na co dzień. Na lekcjach francuskiego wałkowałyśmy w kółko „Quand trois poules vont aux champs, la premiere va devant...” Zabawy szkolne w gronie własnym urozmaicone były małymi przedstawieniami kostiumowymi, trwały dla klas najmłodszych tylko do godziny 20-tej. Moją wychowawczynią na początku była pani Aurelia Pieszkowa, żona prof. Michała Pieszki. Uczyła nas robót ręcznych: szycia na maszynie, kroju i innych umiejętności kobiecych, które przydały się w życiu.

W szkole panowały wtedy obyczaje jak na przedwojennej pensji. Obowiązywał strój granatowy tj. spódniczka o dowolnym kroju i średniej długości oraz bluza, a na uroczystości biała z długimi rękawami bluzka. Do tego nosiło się granatowe berety. Były też w powszechnym zastosowaniu fartuszki czarne i granatowe: jedne o specjalnym kroju z plisowanymi falbankami (wzór przedwojenny) wkładane na coś w rodzaju mundurka; inne bardziej rozpowszechnione i praktyczne - to fartuchy z długimi rękawami, zapinane na mankiet, z przodu zapięcie na całej długości, paseczek w pasie i biały przyszywany kołnierzyk, zawsze świeżutki. Stroje te wymagały ciągłego prasowania i prania kołnierzy, lecz mimo to, większość dziewcząt takie nosiła. Ja donaszałam po Eli przerobioną trochę spódniczkę i bluzę z białym kołnierzem. Byłam bardzo dumna z mojej nowej szkoły i nowych koleżanek. Tą z pierwszej ławki, tuż przed katedrą profesorską, została z wyboru Alisia (Alicja) Treflerówna. Trochę grubasińska, ale ładna szatynka miła i wesoła, która mnie

zaakceptowała z miejsca. Podziwiałam jej dwa długie, lśniące warkocze, które zaplecione nad uszami spływały grubymi sznurami i kończyły się dyndającymi granatowymi kokardami w okolicach pasa. Alisia okazała się pilną, solidną, inteligentną dziewczynką i dobrą koleżanką.

Czasy najpierw wspaniałe, entuzjastyczne pozwalały nam na harcerstwo, zbiórki, ogniska, szkolne msze św. w kościele pod wezwaniem Św. Katarzyny, zaraz koło naszej budy. Pierwsze powojenne i jedyne na długie lata święto 3-go Maja obchodzone było z wielkim wzruszeniem i zaangażowaniem patriotycznym. Uczniowie wszystkich szkół oraz ludność z całego Zamościa zebrana na rynku starego miasta - przeżywaliśmy entuzjazm. Powiewały wtedy tylko biało-czerwone flagi, a jedna, zatknięta na szpicu wieży ratusza miejskiego prostowała się powiewem wiatru rozciągając w niebo całą swoją wielometrową długość, jakby wołała: „patrzcie, oto znów jestem. Zwyciężyłam!” Łzy napływały do oczu, zwłaszcza, że w oficjalnym przemówieniu wciąż słychać było powtarzane często słowa: SUWERENNA! NIEPODLEGŁA! WOLNA! Był to rok 1946. A podczas uroczystej akademii w szkole Baśka Kowałko recytowała przepiękny wiersz I. Gałczyńskiego „Dwie flagi”, a w nim słowa przyprawiające o dreszcz w placach: „... i nigdy nie będziesz biała, nigdy nic będziesz czerwona, będziesz zawsze biało-czerwona, hej! biało-czerwona. Czerwona, jak puchar wina, biała, jak śnieżna lawina”. Jakże szybko zapomniano o rozmowie polskich flag.



Odzyskaliśmy zrujnowany dom w Zamościu, 1847 r., ja, tata i Julek Fabijańscy (Teresa, Józef, Juliusz), fot. arch. autorki

Naszą ostoją było harcerstwo - to z lat 1945-49, które nawiązywało do czasów przedwojennych i było oparte na angielskim skautingu według założyciela i jego twórcy - Baden Powella. Uczyliśmy się piosenek harcerskich zawsze żywych, w

rytmie marsza, lirycznych, śpiewanych przy ogniskach i cudownych, nastrojowych, głębokich modlitw, które przenikały leśną ciszę na wieczornych apelach obozowych i schodziły do mrużącącego się uściskiem splecionych na krzyż dłoni – symbolicznego gestu jedności.

O, Panie Boże, Ojczyźnie nasz

w opiece swej nas miej.

Harcerskich serc Ty drgnienia znasz,

Dopomóc zawsze chciej.

Wszak Ciebie i Ojczyznę,

Miłując chcemy żyć,

Harcerskim prawom w życia dniach

Wiernymi zawsze być.

A jeszcze w Hrubieszowie nauczyłam się na zbiórkach chorału Kornela Ujejskiego.

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,

Do Ciebie Panie bije ten głos.

Skarga to straszna, jęk to ostatni,

Od takich modłów bieleje włos.

*

My już bez skargi nie znamy śpiewu.

Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń.

Wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu

Sterczy ku Tobie błagalna dłoń.

*

O, Panie, Panie, ze zgrozą świata

Okrutne dzieje przyniósł nam czas.

Syn zabił matkę, brat zabił brata,

Mnóstwo Kainów jest pośród nas.

*

Ależ o Panie, oni niewinni

Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz.

Inni szatani byli tam czynni

O, rękę karaj, nie ślepy miecz.

Piszę z pamięci zdumiona, że słowa te tkwią we mnie ponad sześćdziesiąt lat.

Poza pieśniami i wierszami uczono nas sprawności umysłowej, fizycznej, wielu umiejętności tzw. radzenia sobie w trudnych życiowych sytuacjach. Odwaga, prawość rzetelność, spostrzegawczość, solidność i solidarność – to cnoty, które wówczas były w najwyższej cenie. Jednym słowem – tamto harcerstwo było organizacją wychowawczą, patriotyczną, dającą wiedzę, wiele sprawności i umiejętności życiowych, ale również ogromną radość i wiele atrakcji. Uczyłyśmy się wiązać węzły, musiałyśmy umieć tropić, odnajdywać drogę w lesie, nieść pomoc, w wypadkach. Później nawet skończyłam kurs sanitarny i zastałam druhną higienistką, co przydało się nie tylko w Żabczycach na Śląsku, na obozie w 1949 r. ale w ciągu całego życia.

Do niewątpliwych atrakcji należały kiermasze, na które przygotowywałyśmy same różne zabawki, bibeloty, serwetki, koszyczki itp. przedmioty własnej roboty, by po ich sprzedaży uzyskać pieniądze na organizację obozu letniego. Uwielbialiśmy

wszyscy wieczorne ogniska na stadionie zamojskim, przygotowywane wspólnie z harcerzami z Liceum męskiego im. hetmana Jan Zamoyskiego. Pomysłane były jako widowiska pełne humoru i śpiewu przy płonącym, ogromnym ognisku. Przychodziło na nie całe społeczeństwo z miasta. W zimie „ogniska” odbywały się w pomieszczeniach szkolnych z kominkiem elektrycznym niby żarem.

Zdażyłam wziąć udział w dwóch obozach, które wspominam z sentymentem. Pierwszy odbył się na Pomorzu, w Damnicy koło Słupska, w przepięknych lasach Pomorza Środkowego. Do morza daleko i do jezioru Damno również, za to świerki imponującej struktury zaczynały swe gałęzie na ziemi, a strzelały w górę piramidalnie na kilkanaście metrów. Cudo przyrody!

Wieziono nas, cały pociąg towarowy pełen harcerek i harcerzy z Lubelszczyzny, przez trzy doby. Wagony były brudne, nasz po piachu, który sypał się w oczy, włosy i w jedzenie. Miałyśmy sienniki wypchane słomą, wkoło stały ławki, które strasznie nam przeszkadzały, bo w rezultacie nasze głowy musiały zostać pod nimi. Przy różnych manewrach na bocznicach i przy zmianie toru przewracały się na nas. Ale to jeszcze nic. Gdzieś w połowie drogi zaczął padać deszcz. Wagon zaczął przeciekać. Strużki wody ściekały pod nasze sienniki. Wieziona w workach mąka, kasza i cukier zamokły, a my brudne, głodne, zmęczone, ale szczęśliwe dojechałyśmy na miejsce.

Same stawiałyśmy ogromne namioty na sześć osób. Budowałyśmy z otrzymanych od leśników tarcic prycze i półki pod plecaki. Prycza okazała się za krótka, a rezultatem tego był ból w kolanach i jęki przy porannej gimnastyce.

Nasza drużyna druhny Krysi Łenykówny miała trzy namioty ustawiono dośrodkowo. Pośrodku placu stanął maszt z wciągana i ściągana codziennie podczas apeli flagą. Życie obozowe zaczynało się o 7-mej gimnastyką-torturą, a potem według wyznaczonego porządku. Obok namiotów mistrzyni zbudowały ceglana kuchnię i zadaszenie na słupkach. Stoły i ławy naszej jadalni pod chmurką oraz latryna w głębi lasu też były wykonane przez nasze koleżanki. Piszę to wszystko dlatego bo już po nas obozy organizowano w oparciu o szkoły, ze spaniem w salach, kuchnią wiejską i kucharkami - mamami. Nie jestem pewna czy tym dziewczętom harcerstwo pomogło w życiu.

Kilka godzin przedpołudniowych wypełniała praca, fizyczna, nazywana „służbą

Polsce". Nasza drużyna miała zadanie wyjątkowo trudne polegające na plewieniu z jeżyn obszaru młodych sadzonek. Kolce jeżyn wchodziły głęboko w dłonie i dawały później odczyny zapalne z ropą. Nie miałyśmy do tej pracy ani narzędzi ani ochronnych rękawic. Wołałam więc na ochotnika zgłaszać się do pracy zaopatrzeniowca. Obie z Lalką (Ireną) Szomańską wędrowałyśmy ok. 2 km, a może więcej do pobliskiej wsi po chleb i do specjalnego magazynu, gdzie dawano nam skondensowane wojskowe amerykańskie mleko w puszkach. Jedną puszkę półlitrową chyba, konfiskowałyśmy dla siebie „za trud”. Zbaczaliśmy z drogi w pola i tam wypijałyśmy mleko zachęcając siebie wzajemnie: „popij mleczko”. To mleko było dla mnie prawdziwym lekiem ponieważ cały maj ciężko przechorowałam na zapalenie płuc. Leczona byłam chininą, bo penicyliny w Polsce jeszcze nie znano. Gorączka bliska 40 stopni nie opuszczała mnie przez dwa tygodnie. Byłam wychudzona i słaba. Zaczęły mi garściami wypadać włosy. Po powrocie mama pozwoliło mi obciąć włosy i zrobić pierwszą w życiu trwałą ondulację tzw. parową. Czy ktoś dzisiaj wie co to znaczy?



Harcerki z Zamościa na obozie w Damnicy w 1948 r. Część drużyny Krystyny Łenykówny (siedzi po lewej). Pierwsza stojąca z lewej Teresa Fabijańska, fot. arch. autorki

Okropna męka i niebezpieczeństwo poparzenia wrzątkiem, który w specjalnych rurkach nie zawsze szczelnych, bulgotał przez godzinę na głowie. Potem skołtunione

włosy niczym u merynosa, układał precyzyjnie fryzjer (przeważnie wówczas płci męskiej). W lewo i w prawo wyciskał głębokie bałwany, po czym odmieniona kompletnie wyglądałam dorosło i pretensjonalnie. Zostało to zauważone w szkole: czy wiecie, że ta mała Fabijańska zrobiła sobie trwałą? – zabrzmiało, jak skandal. Koleżanki przyjęły zmianę tolerancyjnie, a może z ociupina zazdrości.

„Wydarzenie” to odzwierciedlał też i utrwalił wiersz naszej klasowej poetki, Danki Cieliszak, wpisany do mojego pamiętnika:

Znam taką „Kropkę” co ma czarne oczy,

„Kropkę”, co często chodzi bardzo zła.

„Kropkę”, co niegdyś miała dwa warkocze,

Dzisiaj ta „Kropka” ondulację ma.

Skąd wzięła się „Kropka” nie pamiętam – fakt, że przez całą średnią szkołę nosiłam ten pseudonim.

Tymczasem w szkole wprowadzono reformę zamieniając przedwojenny system dwunastoletni na jedenastolatkę. W rezultacie, po drugiej klasie gimnazjalnej znalazłam się w klasie dziewiątej. Wprowadzono nowy przedmiot – „Służba Polsce” z komendantką zamiast profesorki. Uczyłyśmy się musztry wojskowej, nawet strzelania z KBKS-u na prawdziwej, wojskowej strzelnicy i ciągle kazano nam śpiewać socjalistyczne piosenki. „Hej, Wy konie rumaki stalowe, hej, na pola prowadźcie że nas, niech zawarczą traktory bojowe, nam już w pochód wyprawić się czas”. „Służba Polsce – święty sztandar nasz, celem dobro ludu, by nad Odrą czujnie trzymać straż, w pracy dokonać cudu”.

Do tych lekcji obowiązywał mundur składający się z wąskiej granatowej i bluzy koloru khaki, o wojskowym kroju z kieszeniami na biuście i patkami na ramionach. Na głowę były furażerki, które najlepiej nosiło się na ramieniu. Miałyśmy więc odmianę munduru. Zetempówki nosiły do tego stroju czerwone krawaty. Ani ja, ani Lalka, bardzo zaprzyjaźniona od czasu Damnicy, nie należałyśmy do tej masowej organizacji komunistycznej. Obie stanowiłyśmy filary reakcji i nawet nam się to

udało do końca. Liczyłam się z konsekwencjami takimi, że nie dostanę się na studia, ale i tak byłabym przekreślona. Ojciec wrócił z niewoli i chodził w amerykańskim mundurze, do żadnej partii nie należał, pochodzenie inteligenckie - wszystko to stawiało przy moim nazwisku gigantyczną krechę.

Jedyną nadzieją był Katolicki Uniwersytet Lubelski, gdzie nie pytano o pochodzenie i przynależność organizacyjną, jedynie o zasób wiedzy i zdolności. Na polonistyce na KUL-u studiowała już wtedy siostra Ela i zaczynał prawo Julek. Pełna więc otuchy i nadziei kończyłam szkołę ogólnokształcącą. Zwyczajem wcześniejszych lat pozwolono nam na wyhaftowanie symboli na czapce maturalnej. Właśnie, żeby łatwiej było odróżniać uczniów różnych szkół zamojskich, wprowadzono obowiązkowe czapki. Nasze miały kolor czarny, krój rogatywki z daszkiem czarnym i otokiem amarantowym, na którym złocił się złoty sznur. Czapki były bardzo gustowne i twarzowe. Miękki aksamit dobrze się układał i świetnie zginał, gdy trzeba było schować czapkę do teczki. O to noszenie na głowach stale wychowawczynie perswadowały i apelowały. Dopiero ozdobiona haftem, maturalna czapka stała się bez perswazji naszą dumą. A tym haftem było niewątpliwe curiosum - plan sześćioletni: na złotej siatce czerwona linia wykresu 1945 - 1951 z gołąbkim pokojem u góry i czerwonym, wielkim napisem AKADEMIA ZAMOSCENSIS. Signum temporis. Symbol dawnej Akademii założonej przez hetmana Jana Zamoyskiego został samowolnie zmieniony i pozbawiony herbu rodowego „Jelita” (trzy włócznie). Takie pomieszanie z poplątaniem. No, ale tak było. Ktoś wymyślił, ktoś zaakceptował Czapka, jako pamiątka rzeczowa istnieje, chociaż nieco sfatygowana.

Stosunkowo często w szkołach i w harcerstwie organizowane były zabawy taneczne. Pierwszą zabawą, która trwała aż do godziny 23 była oczywiście studniówka, świetnie przygotowana pod względem artystycznym wspólnie z kolegami z męskiego liceum - klas równoległych. Traktowałyśmy ich dość pogardliwie uważając za dzieciuchów nie umiejących tańczyć. Wzięli to sobie do serca i o dziwo! uczyli się na każdej przerwie. Któregoś dnia wybuchła afera, doszło do obrazy. I to kto? - Leszek, syn dyrektora Michała Bojarczuka nazwał nas „starymi gratami, z których sypie się próchno”. Sprawa oparła się o obie dyrekcje. Zażądałyśmy przeprosin. Wreszcie nasza pani dyrektor Hanna Porębska przyprowadziła do klasy purpurowego Leszka, który w obecności swojej sympatii, damy serca, stanął przed klasą i głośno nas przeprosił. Wtórował temu aktowi skruchy złośliwy chichot. Studniówka nie została

odwołana i pięknie udała się, z zaangażowaniem obu szkół ogólnokształcących.

Na początek przedstawiliśmy operetkę z librettem pisanym przez Hanię Skopińską i Marysię Cieślakównę – dwie utalentowane, szalone dziewczyny, moje przyjaciółki z Zamościa i wcześniej z Hrubieszowa. Reżyserowała pani Regina Cieślakowa. To było świetne przedstawienie z tekstami o naszych szkolnych bolączkach, obrazujące wkraczający do szkół reżim stalinowski i bezsens niektórych działań zwłaszcza organizacji politycznej Związku Młodzieży Polskiej (ZMP), która zdominowała wszystkie organizacje i sterroryzowała grono nauczycielskie. ZMP decydowało o ich życiu. Ale młodzież, jak to młodzież zawsze sobie jakoś poradziła, chociaż byli koledzy, którym nie dano zdać matury, poszli siedzieć na zamku w Lublinie, rzekomo zamieszani w zabójstwo milicjanta w niedalekim od Zamościa Zwierzyńcu. Prawdy nie dowiedzieliśmy się nigdy. Faktem był wyrok śmierci, złagodzony do 25 lat. Śmierć Stalina i czasy Gomułki ułaskawiły ich po kilku latach spędzonych w donżonie zamku (*okrągła wieża przyp. red.*), gdzie była woda po kostki, a po jakimś czasie także we Wronkach (więzienie we Wronkach dla więźniów politycznych uważane było za najcięższe). Jurka Kurzempy, tego uroczego, inteligentnego i bardzo zdolnego kolegi-filozofa nie widziałam już nigdy, a Jurka Kuszla, ktorego poznałam przez mojego brata Julka po zwolnieniu w 1954 – siwusieńkiego, jakby miał 70 lat. Piszę o tym, by utrwalić ich pamięć.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

Powrót ojca z niewoli

Z rodzinnego albumu. Życie pod zaciemnieniem.

*

TERESA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA

wybitny historyk sztuki, wieloletnia kustosz Powozowni Zamkowej w Łańcucie

Historia w karetach zaklęta

Polacy na Kaukazie w XIX wieku w pamiętnikarstwie z epoki



Lucjan Wędrychowski, *Na zeszaniu*, olej na płótnie, 108 x 238 cm, Muzeum Śląska Opolskiego, Opole

Aleksander Bogolubow (*Piatigorsk, Kaukaz Północny, Rosja*)

Po upadku Rzeczypospolitej Polskiej w 1795 roku i wcieleniu dużej części ziem w

skład imperium rosyjskiego, znaczna część Polaków, zarówno z terenów koronnych, jak i z kresów, szukała swego miejsca nie w szeregach tych, którzy walczyli o niepodległość kraju, tylko w życiu codziennym imperium. Kilka tysięcy osób ukaranych za działalność niepodległościową, przymusowo weszło w skład samodzielnego korpusu kaukaskiego armii rosyjskiej. Żołnierze ci byli tam bardzo potrzebni, ponieważ na Kaukazie znaczna część górali kaukaskich, a w szczególności w Czeczenii i w Dagestanie, nie akceptowała wcielenia ich ziem do imperium rosyjskiego i walczyła o całkowitą niepodległość swojego terytorium. W ten sposób, imperium rosyjskie miało dwa niespokojne tereny, dążące do niepodległości: Kaukaz i Polskę. Specyfika tych regionów polegała na tym, że Polska była i nadal jest krajem chrześcijańskim, natomiast ta częśći Kaukazu, na której trwała wojna, była i nadal jest zamieszkiwana przez muzułmanów. Warto zaznaczyć, iż carat umiejętnie korzystał z takiej kontrowersji, zmuszając zesłańców polskich do walki z góralami kaukaskimi.

Ci zesłańcy, których można bez żadnej wątpliwości zaliczyć do grona rusofobów, zdawali sobie sprawę z tego, że zostaną nikim innym, jak niewolnikami wśród górali, jeśli nie poddadzą się woli okupanta. Chociaż nienawidzili carską Rosję, musieli walczyć na Kaukazie.

Do grona nienawidzących caratu pamiętnikarzy tamtego okresu, należy zaliczyć Wincentego Gedeona Giedroycia[1]. Opisywał on okrucieństwa Rosjan wobec Polaków, podając przykłady, których nie można było znaleźć w innych źródłach. Do tego pamiętnik napisany jest wierszem. Oczywiście, pod względem literackim, Giedroyc naśladuje Adama Mickiewicza. Zresztą, można powiedzieć, że taka była ówczesna moda.

Innym wielkim rusofobem wśród zesłańców polskich był Mateusz Gralewski[2]. Dużo miejsca w jego pamiętniku zajmują rozważania na temat ewentualnej ucieczki do górali, na którą Gralewski w końcu się nie zdecydował. Koniec końców ów autor doszedł do wniosku, zresztą trudnym do zrozumienia, że każdy Polak na Kaukazie wiedział, co winien Moskalom, a co winien góralom.

Inny pamiętnikarz i zesłaniec na Kaukazie, Karol Kalinowski[3], porwany przez górali i wzięty do niewoli, przeszedł na islam i nawet chciał ożenić się z dziewczyną

czeczeńską. To mu się jednak nie udało, gdyż Kalinowski nie został zaakceptowany przez czeczeńskie społeczeństwo. Uciekł więc do Rosjan i walczył w szeregach armii rosyjskiej aż do końca wojny kaukaskiej.

Do grona innego rodzaju pamiętnikarzy wśród polskich zesłańców na Kaukazie można zaliczyć Hippolita Jaworskiego[4], uczestnika obydwóch powstań polskich i gorącego zwolennika niepodległości ojczyzny. Przy tym Jaworski całkowicie popierał politykę Rosji na Kaukazie i wojnę, którą Rosja tam prowadziła, uważał ją za ciąg dalszy walki chrześcijańskich rycerzy z muzułmanami na kresach dawniej Polski.

Polskim pamiętnikarzem, który był oficerem armii rosyjskiej i nigdy nie był zesłańcem, a nawet można go zaliczyć do grona rusofilów - był Henryk Dzierżek[5], który zachwycał się sukcesami rosyjskiego oręża.

Przykładem działalności Polaka, który nie był zesłańcami i zrobił wspaniałą karierę w armii lub administracji carskiej, jest Marcelin Olszewski, który w latach 1844-1846 zajmował stanowisko gubernatora cywilnego obwodu kaukaskiego w stopniu generał-majora[6].

Chociaż większa część pamiętników polskich o pobycie na Kaukazie w XIX wieku została sporządzona przez zesłańców, nie wszyscy oni popierali walkę górali o niepodległość. Niektórzy Polacy przebywali na tym terenie w szeregach armii carskiej jako ochotnicy, zrobili wojskową karierę, pozostawiając po sobie ciekawe pamiętniki.

Aleksander Bogolubow -doktor nauk humanistycznych w zakresie historii najnowszej.

Przypisy:

[1] Giedroyc G., Kilka wspomnień z kaukaskiego wygnania, Lwów 1867.

[2] Gralewski M., Kaukaz. Wspomnienia z dwunastoletniej niewoli. Opisanie kraju - Ludność - Zwyczaje i obyczaje, Lwów 1877.

[3] Kalinowski K., *Pamiętnik mojej żołnierki na Kaukazie i niewoli u Szamila od roku 1844 do 1854*, Warszawa 1883.

[4] Jaworski H., *Wspomnienia Kaukazu*, Poznań 1877.

[5] Dzierżek H., *Wspomnienia Kaukazu*, „*Athenaeum*”, 1848, Oddział drugi, t. III, nr 4, s. 77-215.

[6] Gosudarstwennyj Archiw Stawreopolskiego kraja. (GASK), fond 444, opis 1, jedinica chranienija. 3586.

*

Bibliografia:

1. Dzierżek H., *Wspomnienia Kaukazu*, „*Athenaeum*”, 1848, Oddział drugi, t. III, nr 4, s. 77-215.

2. Giedroyć G., *Kilka wspomnień z kaukaskiego wygnania*, Lwów 1867.

3. Gosudarstwennyj Archiw Stawreopolskiego kraja. (GASK), fond 444, opis 1, jedinica chranienija. 3586.

4. Gralewski M., *Kaukaz. Wspomnienia z dwunastoletniej niewoli. Opisanie kraju - Ludność - Zwyczaje i obyczaje*, Lwów 1877.

5. Jaworski H., *Wspomnienia Kaukazu*, Poznań 1877.

6. Kalinowski K., *Pamiętnik mojej żołnierki na Kaukazie i niewoli u Szamila od roku 1844 do 1854*, Warszawa 1883.

Zobacz też:

Syberyjskim szlakiem Dargiewiczów. Część I.

Syberyjskim szlakiem Dargiewiczów. Część II.

Wieczorne rozmowy z wnukami w trudnym czasie



Okładka książki Kazimierza Brauna

Nakładem Wydawnictwa 3DOM ukazała się w tym roku pozycja, która objaśnia młodemu pokoleniu tradycję i patriotyzm. Kazimierz Braun w publikacji zawarł osobiste rozmowy z wnukami, opowiada im o swoim życiu i życiu członków rodziny, kim byli i jakimi wartościami się kierowali. Autor tłumaczy, na czym polega lojalność, odwaga, miłość, rodzina i poświęcenie. To jest książka nie tylko dla dzieci, dorośli też przeczytają ją z dużym zainteresowaniem. Ważnym przesłaniem książki jest uświadomienie rodzicom, że z dziećmi, nawet tymi bardzo małymi, trzeba rozmawiać, opowiadać, kim byli przodkowie, tłumaczyć trudne sytuacje, bo przecież

to dorośli kształtują nowe pokolenie. Zalew zbędnych informacji, którymi atakowany jest młody człowiek, nie da mu oparcia, poczucia własnej tożsamości i swoich korzeni. Rodzice, często zabiegani w pogoni za przyszłością, zmęczeni codziennymi troskami, nie znajdują czasu na długie rozmowy z dziećmi. Dziadkowie są na innym życiowym etapie, więc to oni mogą się zająć edukacją swoich wnuków. Kazimierz Braun jest dramaturgiem, reżyserem teatralnym, pisarzem, a także profesorem i wykładowcą akademickim. Wykładał m.in. na Uniwersytecie Wrocławskim, New York University, Uniwersytecie Kalifornijskim (w Santa Cruz) i przez wiele lat na University at Buffalo. Mimo wielu lat spędzonych na emigracji, ojczyzna i więzi rodzinne są dla niego bardzo ważne. *(Joanna Sokołowska-Gwizdka, red.)*

Kazimierz Braun (*Buffalo*)

PROLOG

Miałem w moim, już długim życiu, Bożą Łaskę, niezmiernie szczęście i wielki przywilej opowiadania moim dzieciom i wnukom różnych historii, wspomnień, bajek. Wydobywałem je z własnej pamięci, a także z wyobraźni, z historii rodziny i kraju. Wyplącałem się w ten sposób za te dary jakimi ubogacali mnie kiedyś moi rodzice, Juliusz i Elżbieta z Szymanowskich, a także babcia Henryka Braunowa, która mieszkała latami w naszych domach rodzinnych. Dziadka Karola Brauna nie znałem. Zmarł przed moim narodzeniem. Natomiast dziadek Michał Szymanowski, w którego dworze, w Mokrsku Dolnym nad Nidą, urodziłem się, był najpierw dla małego wnuka dalekim, wyniosłym punktem odniesienia w porządkowaniu dzieciennego świata, ale później, gdy już ograbiony przez tzw. „reformę rolną” ze swego majątku zamieszkał w jednym sublokatorskim pokoju w Kielcach, zapraszał mnie często do siebie i wtedy obdarzał mnie opowiadaniem o życiu, jakie było przed wojną - przed okupacją niemiecką i przed okupacją sowiecką, jak nazywał zaprowadzone w Polsce komunistyczne rządy.

Gdy zeszedliśmy się z Zofią Reklewską, to okazało się, że pochodzimy z podobnych okolic. Ja urodziłem się w Kieleckiem, i całe dzieciństwo spędziłem w tamtych stronach, w leśnym domu w Milechowach, a ona, wprawdzie urodziła się w Warszawie, ale jako dziecko mieszkała w Sandomierskiem, w Mirogonowicach, we dworze swoich rodziców Wincentego i Anny Reklewskiej z Wasiutyńskich, przy czym jej ojciec prawie tuż po jej urodzeniu został zamordowany przez komunistycznych

bandytów.

Gdy w naszym życiu małżeńskim otrzymaliśmy dar dzieci, to moje wieczorne opowiadania Monisi, Grzesiowi, Justysi stały się prawie-że niezbędnym rytuałem rytmu rodzinnego dnia, potrzebnym do tego stopnia, że gdy kroił się jakiś mój wyjazd z domu na dłużej (a to zdarzało się - teraz sędzę - zbyt często), to nagrywałem wieczorne opowiadanki na kasetę, a Zosia odtwarzała je wieczorami dzieciom.

Lata mijały, nasze dzieci rosły. Pojawiały się ich dzieci. Siadałem przy łóżeczku małej Ani, potem małej Asi, a potem małej Anielki - córek naszej córki Moniki. Potem takie dobre chwile dane mi było dzielić z córkami naszej córki Justyny - Zosią i Lilką. Z nimi - tak się to ułożyło w naszym życiu rodzinnym - byliśmy blisko, i jesteśmy - od samego ich urodzenia, i nadal, gdy już stają się panienkami. Nadal są okazje do wieczornych, i nie tylko wieczornych, opowiadań.

Jestem wszystkim tym dzieciom niezmiernie wdzięczny, że zechciały mnie obdarzać swoją uwagą, że jakoś przydawałem się im do podciągnięcia pod brodę kołderki, poprawienia poduszeczki, wygładzenia wyobraźni rozbrykanej w ciągu dnia, przywołania w ich pobliże Anioła Stróża, ale także do wywołania z przeszłości tych, z którymi teraz nie mogą się spotkać, a którzy jednak czuwają nad ich snem.

Ta książeczka powstała z tęsknoty za takimi chwilami także przy łóżeczkach Alka i Helenki, dzieci mego syna Grzegorza i jego żony Aleksandry. Chciałbym, aby przydała się im dwojgu i ich dzieciom, a może i innym rodzicom, i innym dzieciom.

W czasie, w którym piszę te słowa - a jest to straszny i tajemniczy czas zarazy, jedni zowią go epidemią, inni pandemią, a jeszcze inni, po prostu, wojną - dorośli i starsi spędzają, nawet i przymusowo, więcej czasu w domu. Siadają wieczorami przy małych łóżeczkach. A dzieci właśnie w takim czasie bardzo potrzebują - nie rozumiejąc przecież, co się wokół nich dzieje - obecności, ciepła, uwagi i słowa dorosłych.

Mam nadzieję, że te wieczorne rozmowy z moimi wnukami, pozostając w kręgu historii jednej rodziny, zawierają w sobie ziarna, które można zasiać w ogrodach innych rodzin. Próbuję bowiem opowiadać nie tylko o ludziach i zdarzeniach, ale także, bardziej ogólnie, o wierności, odwadze, troskliwości, pracowitości, o bardzo

prostym i oczywistym trwaniu przy wierze, wartościach i zasadach, o pielęgnowaniu tradycji. A także, te moje opowiadanki mogą się może przydać, jako swego rodzaju mapa drogowa, która posłuży moim dorosłym czytelnikom w wyprawach szlakami ich własnej pamięci. (...)



Rzeźba dziadka z wnukiem, fot. Birkenhain z Pixabay

ROZMOWY Z ALKIEM

Dzielny pradziadek Juliusz

Tego wieczora, jak tylko usiadłem przy łóżeczku Alka, powiedziałem od razu:

- Dzisiaj, Alku, opowiem ci o twoim pradziadku. Był ojcem twojego dziadka, to jest

moim ojcem. Na imię miał Juliusz. Na drugie imię Henryk. Nazwisko nosił takie same jak ty, jak twój ojciec.

- Ja jestem Aleksander Braun. Aleksander Wincenty Braun - powiedział poważnie Alek. Ja wiem jak się nazywam. Ja to wiem bardzo dobrze.

- A on, twój pradziadek, nazywał się Juliusz Henryk Braun. Pod koniec życia był profesorem, uczył studentów, wiesz, o kimś takim mówi się „nauczyciel akademicki”. Ty masz nauczycielki w przedszkolu. Teraz twoją nauczycielką jest twoja mamusia, prawda? Bo przedszkole zamknięte, więc uczysz się w domu. Zanim został nauczycielem akademickim twój pradziadek był prawnikiem. Takie uzyskał wykształcenie, to znaczy, tego się nauczył, to robił.

- Kim, dziadku, był pradziadek? Prawnikiem?

- Tak, prawnikiem. To znaczy, że znał prawo i pomagał ludziom przestrzegać prawa. Prawo mówi o tym, co wolno, a czego nie wolno. Jak ktoś zrobi coś, czego nie wolno robić, to może być postawiony przed sądem.

- To on był sędzią? - zapytał Alek. - Bo ja wiem, że w sądzie jest sędzia. I na boisku piłkarskim jest sędzia. Czy on był sędzią piłkarskim?

- On nie był sędzią. Był obrońcą. I nie na boisku, tylko w sądzie.

- Obrońcy to są na boisku - skonstatował autorytatywnie Alek. - Oni grają z tyłu, za nimi jest tylko bramkarz, a z przodu grają napastnicy. Lewandowski!

- W sądzie też są obrońcy - starałem się przekonać małego rozmówcę. - Widzisz, jak jakiś człowiek staje przed sądem, to sędzi go sędzia. Ale jest także jeden taki prawnik, mówi się o nim prokurator, który przedstawia sędziemu winy tego człowieka, oskarża go. A drugi prawnik, który nazywa się adwokat, broni go przed tymi oskarżeniami. Sędzia słucha co mówi oskarżony, co mówi prokurator, co mówi adwokat. A potem wydaje wyrok. Kiedyś będziemy musieli dłużej porozmawiać o sądzie, o sądach, o tym, co się nazywa „wymiar sprawiedliwości.” Często, niestety, to jest raczej wymiar niesprawiedliwości. Ale teraz powiem ci tylko, że twój pradziadek był obrońcą, adwokatem. Bronił ludzi w sądach. Pomagał ludziom w ten sposób. Żył długo. Zrobił wiele dobrego. Wiele też wycierpiał.

Gdy to powiedziałem – natychmiast opadły mnie wspomnienia tych strasznych chwil – obrazów: aresztowanie ojca przez gestapowców; aresztowanie ojca przez ubeków; ogłoszenie wyroku na ojca – właśnie: niesprawiedliwego wyroku – przez komunistyczny sąd wojskowy; widzenia z ojcem w więzieniu. I ten moment, jak cios: siedzimy nad rzeką Wierną po kąpieli w letnie popołudnie. Są rodzice, dzieci, i jest już z nami Zosia, moja młoda żona. Wszyscy jesteśmy w kostiumach kąpielowych. I ona nagle, tak po prostu, pyta ojca, z głębi swojej troski o niego i miłości do niego – nie pamiętam dokładnie jej słów – pyta o zauważone nagle blizny na jego plecach i piersiach. Pamiętam słowa ojca – krótkie, tylko informacyjne, jakby bezosobowe, jakby to nie było o nim: to z ubeckich przesłuchań na Mokotowie.

Nie pozwoliłem jednak swojej myśli kołatać się po tych ciemnych zaułkach. Z wysiłkiem zamknąłem wieko studni pamięci. Powiedziałem tylko:

- Wiele mam ci, Alku, do opowiedzenia o twoim pradziadku. Jak Pan Bóg da to jeszcze znajdzie się na to czas. Dzisiaj opowiem ci jak był żołnierzem.

- Miał karabin? Ja mam pudełko ołowianych żołnierzyków – pochwalił się Alek.

- Miał karabin. Gdy służył jako wartownik. Gdy służył jako kierowca wojskowy to miał pistolet. Bo to było tak, Alku, że za jego życia były dwie wielkie wojny na świecie, w Polsce. I on, twój pradziadek, w czasie pierwszej z tych wojen był za młody, aby pójść do regularnego wojska, ale chciał walczyć o Polskę, więc zgłosił się jako ochotnik – to znaczy sam tak chciał, choć nie musiał – do harcerskiej służby wartowniczej, bo był harcerzem. I tam dostał karabin. I był żołnierzem. A gdy wybuchła druga wojna, gdy Niemcy napadli na Polskę, to pradziadek był tym razem już za stary, aby otrzymać powołanie do wojska. Ale znów zgłosił się sam, jako ochotnik. Znów chciał walczyć o Polskę. Zgłosił się do wojska ze swoim samochodem. Ponieważ był to dobry samochód, mercedes, więc został oddany do użytku generałowi, dowódcy jednej z polskich armii. I w ten sposób twój pradziadek został kierowcą tego generała. Wtedy otrzymał pistolet.

Polska walczyła z Niemcami przez kilka tygodni. Armia tego generała wykazała się szczególnym bohaterstwem. Ale ostatecznie została otoczona ze wszystkich stron przez przeważające siły niemieckie. Generał, dowódca armii, postanowił się poddać i poddać resztki swych wojsk. To znaczy przestać walczyć, po to, aby uratować życie

tych żołnierzy, którzy mu jeszcze pozostali. Wszyscy dostali się do niewoli – wszyscy żołnierze, generał, a także jego kierowca, twój pradziadek.

Niemcy urządzili dla nich wszystkich prowizoryczny obóz jeniecki na jakiejś wielkiej łące. Wyobraź to sobie: wielka łąka, a na niej stoi wiele polskich, wojskowych samochodów osobowych i ciężarowych rozrzuconych chaotycznie, w tym mercedes twego pradziadka. Na łące kłębią się grupami i pojedynczo polscy oficerowie i żołnierze – bez broni. Bo są jeńcami. Łąka otoczona jest drutem kolczastym umocowanym do świeżo wbitych w ziemię drewnianych palików – tak jakby to było wielkie pastwisko. Tylko, że zamiast bydła są na nim ludzie. Poza drutami, na zewnątrz, rozsiane są gęsto niemieckie posterunki z ciężkimi karabinami maszynowymi wycelowanymi w łąkę, w tych ludzi. Na zewnątrz drutów przechadzają się niemieccy wartownicy. A za nimi, tworząc ogromny pierścień, stoją niemieckie czołgi z lufami także wycelowanymi na tych ludzi. Opowiadałem ci kiedyś, Alku, o czołgach rosyjskich, które podpełzały do naszego zimowego lasu pod koniec tej właśnie wojny. A to, co ci teraz opowiadam, wydarzyło się na jej początku, a czołgi były niemieckie. Sytuacja, zdawałoby się, bez wyjścia. Wszystkich jeńców czekała niewola.

Twój pradziadek był jednym z jeńców. Swój pistolet musiał oddać Niemcom. Ale od samego momentu uwięzienia myślał o ucieczce. O wydostaniu się na wolność. Nie godził się na niewolę. Był człowiekiem przedsiębiorczym, sprytnym i odważnym. Chodząc w ciągu dnia po otoczonej przez Niemców łące, zauważył jakąś większą przerwę między niemieckimi posterunkami i czołgami. Postanowił uciec – wyczołgać się w nocy z obozu jenieckiego. Był kiedyś harcerzem – w harcerstwie nauczył się czołgać.

Wiesz, co to jest czołganie się, prawda, Alku? Szorujesz brzuchem po trawie, po piasku, czy nawet kamieniach, podciągasz się ku przodowi tylko rękami i cały czas uważasz, żeby być jak najbliżej ziemi.

Więc pradziadek czekał w tym miejscu do nocy. Chciał się wyczołgać pod osłoną ciemności. Wszyscy jeńcy poukładali się po prostu na ziemi, żeby się jakoś przespać. Zapadła ciemność. Pradziadek czuwał i już miał rozpocząć swoją próbę ucieczki z obozu, gdy nagle zaryczały motory czołgów stojących dookoła obozu i zapaliły się ich

reflektory oświetlając całą łąkę. Były jednak pomiędzy tymi reflektorami smugi cienia. Choć ucieczka w tych warunkach była naprawdę bardzo ryzykowna, pradziadek zaczął się czołgać - najpierw pod drutami kolczastymi, potem między niemieckimi wartownikami, potem między niemieckimi czołgami. Czołgał się bardzo długo. Wreszcie zostawił Niemców za sobą.

W jakichś krzakach zdjął kurtkę munduru i wepchnął ją pod liście. Zachował jednak portfel - wiesz, twój tatuś też ma taki portfel z dokumentami, z pieniędzmi. Pradziadek nie wyrzucił portfela, bo miał w nim dużo pieniędzy i swoje dokumenty, choć złapany przez Niemców, byłby natychmiast zidentyfikowany w oparciu o te dokumenty. Ale i pieniądze, i dokumenty, mogły mu być potrzebne w dalszej drodze ucieczki.

Więc twój pradziadek najpierw długo się czołgał, a potem szedł kilka kilometrów przez las, aż doszedł do jakiejś wsi. Był środek nocy. Zastukał do pierwszego z brzegu domu. Nikt nie chciał mu otworzyć. Szepcząc przez drzwi, przekonał jednak gospodarza, że jest polskim żołnierzem, który uciekł z niemieckiej niewoli i potrzebuje pomocy. Wreszcie drzwi się otwały. Pradziadek poprosił gospodarza, żeby mu sprzedał spodnie, buty i sweter. Przydały się zachowane pieniądze. Zapłacił hojnie. Przebrał się, zostawiając swoje spodnie wojskowe, które tamten mężczyzna natychmiast spalił w piecu kuchennym.

Pradziadek dopytał się jeszcze tego człowieka o najbliższy kościół parafialny. Poszedł we wskazaną mu stronę. Dotarł pod plebanię o świcie. Przedstawił się księdzu proboszczowi, który przyjął go z wielką troskliwością i serdecznością. Pradziadek zaproponował temu księdzu kupno swego samochodu, który wciąż stał przecież w obozie jeniecki, za drutami - jeśli uda się go wydostać. Ksiądz przyjął propozycję. Ustalili jak to zrobić. Już zaczęli walczyć z Niemcami metodami konspiracyjnymi. Ksiądz da pradziadkowi dokumenty, które powinny zmylić Niemców, a pradziadek pójdzie po swój samochód i wydostanie go z obozu jenieckiego. Ryzykowny plan.

Ksiądz dał więc pradziadkowi, napisany po niemiecku dokument, stwierdzający, że samochód, mercedes, numer rejestracyjny taki i taki, należy do niego, i że stał w miejscu, gdzie wojsko niemieckie zorganizowało obóz jeniecki, bo akurat tam zabrakło benzyny. To akurat było prawdą - bak mercedesa był pusty. Więc ksiądz

prosi w swym liście władze obozu, aby wydały samochód jego kierowcy, który nazywa się tak a tak (nie pamiętam jakie tam podano imię i nazwisko) i zaopatrzył pradziadka dodatkowo w sporządzony na prędce akt chrztu tego niby - kierowcy, jako legitymację tożsamości.

Ksiądz dał mojemu ojcu, a twemu pradziadkowi, dwa konie ze swojej stajni, postronki i orczyki. Pobłogosławił pradziadka na drogę. Pradziadek zostawił księdzu swój portfel - teraz nie mógł go mieć przy sobie. Dał mu także adres swojej żony, z prośbą, aby ksiądz napisał do niej, na wypadek gdyby on sam nie wrócił z wielce ryzykownej wyprawy.

Pradziadek poszedł z końmi do obozu jenieckiego. Daleka droga. Przy bramie pokazał sporządzone przez księdza dokumenty dowódcy warty i wytłumaczył mu po niemiecku, dokładnie, ze szczegółami, tak, aby tamten zrozumiał swym, zapewne tępym umysłem, że przysłał go ksiądz proboszcz po swój samochód, który stoi tu od kilku dni, bo zabrakło benzyny, a potem wojsko niemieckie zorganizowało nagle w tym miejscu obóz jeniecki. Twój pradziadek mówił świetnie po niemiecku, bo urodził się i chodził do szkół pod zaborem Austriackim, a Austriacy mówią po niemiecku. O, i o tym, co to były zabory, też muszę ci, Alku, kiedyś opowiedzieć. Nie teraz. Teraz wracam do opowieści o twoim pradziadku.

Dowódcę warty przekonuje jego opowieść i okazane dokumenty. Przywołuje wartownika i każe pradziadka wpuścić do obozu.

Pradziadek odszukuje samochód. Zaprzęga konie do przedniego zderzaka. Trzymając lejce w lewej ręce przez opuszczone okienko i prawą kontrolując kierownicę wyjeżdża na obozową drogę. Zbliży się to tej samej budki wartowniczej i tej samej bramy, którą wszedł. Stoi tam ten sam wartownik, który go wpuścił. Macha ręką i twój pradziadek wyjeżdża z obozu ciągnionym przez konie mercedesem! Udało się!

Pradziadek jedzie długo, polną drogą, ku kościołowi. Ksiądz otwiera mu stodołę. On wjeżdża tam, wciąż ciągniętym przez konie, samochodem. Drzwi stodoły zostają zamknięte.

Na plebanii ksiądz proboszcz wypłaca pradziadkowi umówioną sumę za samochód. Była znaczna - stanowiła podstawę życia rodziny przez pierwsze miesiące wojny.

Ksiądz daje jeszcze pradziadkowi na dodatek dobre cywilne ubranie. Książeczka wojskowa wędruje do pieca kuchennego. Z plebanii ojciec wychodzi już jako cywil, doktor Juliusz Braun, adwokat. Ma przy sobie swoje stare, polskie dokumenty.

Z tymi dokumentami wrócił z wojny do domu. Nie tylko uciekł z niewoli, ale i wy dostał swój samochód.

Twój pradziadek, Alku, to był wspaniały, dzielny, zaradny odważny człowiek.

Gdy, sam zemocjonowany, kończyłem opowiadać Alkowi o jego dzielnym pradziadku, zobaczyłem, że chłopiec już zasnął. To i dobrze. Po to snułem te opowieści.

Pomyślałem jednak, że może Alek zapamięta choć część tej historii. I kiedyś uświadomi sobie, że wzorem swego pradziadka, powinien szukać wyjścia z każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji, nie poddawać się, a zwłaszcza nie godzić się na jakikolwiek rodzaj niewoli.

Zobacz też:

„Pamięć”. Wspomnienia Kazimierza Brauna.

Wielkanoc w mirogonowskim dworze

Boże Narodzenie w Mirogonowicach